EDWIN ROZŁUBIRSKI



LUDZIE Z INNEGO ŚWIATA

Edwin Rozłubirski

LUDZIE
z innego świata

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Okładkę projektował
KONSTANTY SOPOĆKO

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1957. Wydanie I.

Nakład 30 000 egz. Objętość ark. wyd. 3,58, ark. druk. 5.
Papier druk. mat. V kl.; 70 g. Format 70×100/32 z Fabryki Papieru Szczecin—Skolwin.
Oddano do składu 16.06.57. Druk ukończono 14.09.57.
Zam. nr 744 z dn. 10.08.57. Wojskowa Drukarnia w Łodzi
D-3

Cena zł 5.—

BARYKADA NA PLACU ZAMKOWYM

4—5 sierpnia 1944 r.

Stare Miasto płonie. Już piąty dzień trawi je ogień miotaczy, dział i moździerzy. Piąty dzień... Coraz częściej przychodzą chwile, w których zaczynam tracić rachubę czasu. Piąty dzień piekła, ognia i nierównej, niekiedy już beznadziejnej walki. Pięć dni — ile to godzin? W Śródmieściu pierwsze strzały padły 1 sierpnia około godziny siedemnastej. Na Woli wcześniej. A na Starówce?

Ciężko jest skupić myśli, kiedy szybkostrzelny karabin maszynowy zachłystuje się w rękach długimi, spazmatycznymi seriami. Ujada, milknie na moment, kiedy zwalniam spust, a potem na powrót szyje przestrzeń placu drobnym ściegiem pocisków. Wspaniała — jak na tamte czasy — broń. Wymontowana ongiś przez nas z samolotu, prawdziwe „cacko" dla znawcy, ostatni krzyk niemieckiej techniki wojennej.

W ciągu ostatnich dwóch dni poznałem wszystkie jego dolegliwości; wiem już, że musi mieć lekko przetarte oliwą naboje, że po kilku długich seriach należy przekręcić odrzutnik o dwie kreski w lewo, że trzon zamkowy powinien być zupełnie suchy. Słowem — znam go jak własną kieszeń, mogę z niego strzelać po omacku, bez zacięć. Zresztą nie tylko ja jeden wiem o jego zaletach; ten karabin maszynowy to chluba, duma i nadzieja trzeciej kompanii Czwartaków, którą teraz wspiera swoim ogniem. A trzecia kompania otrzymała ciężkie

Przedmieście, Podwale i część Senatorskiej. Z otworów okiennych, powyrywanych wybuchami min, wypełzają jęzory ognia. W ciemniejące coraz bardziej sierpniowe niebo tryskają snopy iskier. W nagrzanym powietrzu czuć spaleniznę — duszącą coraz bardziej, zatykającą oddech.

Natężenie walki nie słabnie ani na chwilę, przeciwnie — momentami wyraźnie wzrasta. Leżąc na kupie cegieł i bijąc nieustannie z elkaemu, zadaję sobie w duchu pytanie: jak długo? Jak długo stać będą jeszcze nadwątlone ściany domów, zanim nie zawalą się, grzebiąc nas w gruzach? Na jak długo starczy amunicji? Jak długo wytrzymają nieprzyzwyczajeni do takiego ognia chłopcy? Jak długo wreszcie my, garstka prawie bezbronnych szaleńców, zdołamy zatrzymać przed sobą doborowe oddziały wyposażone w najlepszą broń? Ile jeszcze czasu dzieli nas od chwili, w której lawina niemieckiej stali przetoczy się przez kupę gruzów, która w jakże niedalekiej przeszłości nazywała się Starym Miastem?

Siła ognia nie maleje. Wzrasta. Karabin maszynowy w moich rękach zanosi się coraz gwałtowniejszą serią, szarpie i paruje. A czołgi pełzną i pełzną, za czołgami zaś — niemiecka piechota.

W najcięższym momencie zjawia się „Ryszard". Jego obecność dodaje mi otuchy. Na jego też rozkaz oddaję elkaem sierżantowi „Staśkowi". Rozumiem już: wypad przeciwko czołgom! Łapię butelki z benzyną, a chłopcy z plutonu szturmowego odbezpieczają granaty.

Skaczemy przez barykadę... Potykam się o rozoraną minami nawierzchnię jezdni. Oczy przysłania mi mgła. Nie wiem, czy to mgła, czy też dym — gęsty, skłębiony, niosący ze sobą smrodliwą woń spalenizny. Nie zdaję sobie z tego sprawy. Widzę tylko najbliższy czołg, wymalowany na jego pancerzu krzyż i lufę, u której

wylotu raz po raz wykwita błękitny płomień. Nie słyszę huku...

Przeskakuję głęboką wyrwę i w tej samej sekundzie dostrzegam kątem oka, jak „Skóra" — biegnący w moim bliskim sąsiedztwie — całym rozmachem ramienia ciska butelkę. Krzyczy coś.

Czerwononiebieski płomień rozlewa się po wieżyczce „Tygrysa" i ognistymi łzami spływa w dół, prosto na gąsienicę.

Robię zamach prawą ręką. Wstrzymuję przez chwilę oddech, bo w głowie tłucze się teraz uparcie jedna tylko myśl: Aby trafić! Rzucam wreszcie, a zaraz po tym gotów jestem krzyczeć z radości: J e s t! Pali się nowym ogniskiem na gąsienicy...

Teraz dopiero spostrzegam, że i drugi „Tygrys" stoi w ogniu. A więc chłopcy z plutonu szturmowego nie próżnowali.

Powoli przychodzi opamiętanie. Serie broni maszynowej coraz głośniej i bliżej klaszczą po kamiennych kostkach bruku. Stanowimy świetny, nie osłonięty niczym cel dla piechoty niemieckiej. W jaskrawym świetle płonących maszyn widać nas teraz, jak na dłoni. Wycofujemy się więc pod ostrzałem. Wykorzystuje to załoga jednego z unieruchomionych czołgów i nie zauważona przez żadnego z nas — wyskakuje z płonącego wozu. Umyka co sił w nogach w Krakowskie Przedmieście. Wtedy też dopiero spostrzegają ją chłopcy „Żarłoka". Zbyt późno! Niemcom udaje się dotrzeć do zbawczej bramy.

Klniemy z wściekłości, kiedy ktoś — zdaje mi się, że z trzeciego baonu — woła, iż Niemcy uciekli bez automatów... „Ryszard" decyduje się błyskawicznie i zanim mogę pojąć, gdzie jestem i co robię — biegnę za nim w stronę płonącego czołgu.

Nie zważamy na nic. Parząc dłonie o rozwalone, pancerne płyty wskakujemy do wnętrza. Za nami,

spuszczając nogi na nasze głowy, ładuje się ktoś trzeci. To „Skóra".

Sekundy gorączkowych poszukiwań w skwarze i dymie wloką się w nieskończoność. Kaleczę ręce o jakieś wystające części mechanizmów, uderzam czołem o coś ostrego. Na próżno. Automatów nie ma! Na pocieszenie zabieramy więc po jednej minie, a „Skóra" znajduje pięść pancerną.

Czas umykać. Wyłażę ostatni i zeskakuję na jezdnię. Pod butami chrzęści szkło, skrzy się w migotliwym świetle palących się maszyn. Pochylam się i biegnę w stronę barykady... I nagle uszy przewierca mi potworny huk. Uświadamiam sobie, że potężny podmuch wyrywa mi z rąk minę, a ja sam lecę w powietrzu, aby po chwili (sekunda? wieczność?) grzmotnąć bokiem o coś twardego. Kiedy niewidzialna siła przewraca mnie w dodatku na plecy, nie wytrzymuję i zamykam oczy.

W skroniach wali tętno — coraz szybciej i głośniej, w prawym ręku czuję przejmujący, okropny ból. Niemal siłą rozwieram powieki... Z głuchym brzękiem w ślad za mną spadają z powietrza na ziemię stalowe części rozerwanego wybuchem „Tygrysa".

Ból w prawym ręku wzmaga się. Gryzę wargi i przymykam znów oczy. Kiedy otwieram je po raz wtóry, widzę nad sobą niebo — czerwone od łun.

To niebo Warszawy.

„TYGRYS" PALI SIĘ JAŚNIEJ

Dowództwo AL „Warszawa" spodziewało się dnia 20—21 sierpnia silnego natarcia hitlerowców od strony Wisły. Otrzymałem rozkaz objęcia osobiście dowództwa pozycji „Garbarnia — Szkoła" u wylotu ulicy Mostowej, pozycji bronionej przez pododdziały baonu im. Czwartaków. Szczęśliwym trafem, w czasie poszukiwań pamiątek z powstania przeprowadzanych w roku 1946, znaleziono w gruzach m. in. teczkę z meldunkami, wśród których również znajdowały się meldunki wysyłane przeze mnie do sztabu w okresie mojego pobytu na Mostowej. Rzecz jasna, że pozwoliło mi to najwierniej odtworzyć sytuację, w jakiej znajdowaliśmy się trzynaście lat temu.

20 sierpnia 1944 r.

Dowództwo pozycji „Garbarnia — Szkoła" obejmuję o godzinie szesnastej.

A więc dopala się już dwudziesty dzień powstania. Powietrze jest parne: filuje nad nawierzchnią Wisłostrady, drga od głośnych eksplozji, które niosą się z prawego i lewego skrzydła naszego odcinka.

Na Mostowej — jak do tej pory — panuje względny spokój. Pozwala mi to sprawdzić rozmieszczenie stanowisk ogniowych oraz zorientować się w sytuacji. I kiedy wydaję ostatnie polecenia, rozpoczyna się nagle przygotowanie artyleryjskie.

Patrzę na zegarek — godzina dziewiętnasta. Pociski biją już w mury szkoły, metr po metrze ryją teren fabryki, Ktoś zaczyna raptem wyć nieludzkim głosem. Po piętnastu minutach artyleryjskiej nawały mamy już pięciu rannych.

Za moimi plecami, gdzieś nad płonącą Starówką, zachodzi słońce — czerwone, zasnute dymami. Zaczyna się ściemniać.

Ponieważ nie mamy rakiet, a co za tym idzie, i możliwości oświetlenia przedpola, wysuwam w kierunku Wisłostrady i „Czerwonego Domu" podsłuchy i czujki jako ubezpieczenie od czoła. Ale hitlerowcy, nauczeni doświadczeniem, boją się wypadu z naszej strony i co trzy — cztery minuty oświetlają przedpole rakietami. Jednocześnie ich artyleria nie przerywa niszczycielskiej roboty i w dalszym ciągu wali po garbarni.

Jest 21 sierpnia 1944 r. noc. Zaraz po północy wysyłam do sztabu następujący meldunek:

> 21.08.44. Godz. 1.00. M.P.
> Nieprzyjaciel nadal prowadzi przygotowania artyleryjskie, czołgi pokazują się na Wisłostradzie rzadko, piechota zupełnie nieaktywna. Natarcia piechoty spodziewam się dopiero o świcie lub później, 5.30—6.00.
> Zdecydowany jestem nie wycofywać się z fabryki. Nastrój dobry. Straty własne: 1 zabity, sześciu rannych, dwa karabinki zniszczone. Proszę o przygotowanie na wypadek szturmu nieprzyjacielskiej piechoty — 20 granatów obronnych i 100—150 butelek. Podpisano. „Gustaw"-por.

Noc jest ciepła, prawdziwie sierpniowa. O godzinie drugiej z minutami „krowy" zapalają fabrykę... Ogień rozprzestrzenia się szybko i obejmuje coraz większy teren garbarni. Płoną magazyny, hale fabryczne...

Próbuję zmobilizować do pracy wystraszoną ludność okolicznych domów. Przychodzi mi to z nie byle jakim trudem. Na przeszkodzie zlokalizowaniu ognia staje również brak wody i sprzętu przeciwpożarowego. Akcja ratownicza daje początkowo nikłe rezultaty i dopiero o czwartej trzydzieści udaje się nam ugasić pożar.

Za Wisłą niebo blednie. Świta. Jest już chyba wpół do szóstej, kiedy nad nasz odcinek nadlatują trzy „Stukasy". Przez kilka minut — długich i szarpiących nerwy — krążą nad garbarnią, aż wreszcie pierwszy z nich robi przechył na skrzydło i nurkuje w dół. Za nim idzie drugi, trzeci...

Nie odrywam od oczu lornety. Wyraźnie widzę rosnące z każdą chwilą sylwety maszyn, ścięte, uniesione lekko do góry końce płatów i rozkraczone podwozia, spod których odrywają się nagle wrzecionowate bomby.

Przeciągły, narastający świst świdruje mózg, a zaraz potem huczą trzy potężne eksplozje. Na szczęście — niegroźne.

Bomby uderzyły między Wisłostradę a garbarnię, ryjąc w ogrodzie ogromne leje...

Tymczasem odzywa się piechota zza Wisłostrady i z „Czerwonego Domu". Po piętnastu minutach nadlatuje nowa trójka „Stukasów" i zrzuca dalsze bomby z trochę lepszym skutkiem.

Nie opadł jeszcze kurz po wybuchach, kiedy przede mną stanął łącznik od lewego sąsiada, z „Pekinu".

— Panie poruczniku, od porucznika „Nałęcza".

Biorę kartkę i przebiegam wzrokiem nierówne pismo. Grupa AK z baonu „Dzik", broniąca „Pekinu", prosi, abym skierował ogień z karabinów maszynowych na znajdującą się naprzeciw niej piechotę.

Kiwam głową i wydaję odpowiednie rozkazy. Już po chwili hitlerowcy cichną pod silnym ogniem czwartackich kaemów.

Ludzie porucznika „Nałęcza" mogą odetchnąć swobodniej...

Do godziny 8.00 „Stukasy" nękają nas co piętnaście — dwadzieścia minut. O 8.10 przygotowanie lotnicze i artyleryjskie kończy się jak nożem uciął, a na Wisłostradę

wjeżdżają „Tygrysy" i pancerne wozy zwiadowcze. Od strony mostu Kierbedzia sunie w naszym kierunku „Pantera". Wśród huku rozrywających się pocisków dział czołgów — ni stąd ni zowąd — przypominam sobie raptem, jak parę dni temu jakiś cywil pytał porucznika „Żarłoka", jaka jest różnica między „Tygrysem" a „Panterą", a ten mu zupełnie poważnym tonem odpowiedział, że cała różnica polega na tym, iż „Tygrys" pali się dłużej i jaśniej.

Tak, szkoda „Żarłoka". Dzielny to był chłopak i dzielnie też zginął. Czternastego sierpnia poległ na Placu Zamkowym, gdzie, dowodząc wypadem przeciwko czterem czołgom, dostał w pierś serię z kaemu od usadowionej na Nowym Zjeździe niemieckiej piechoty.

... W fabryce rwą się „krowy". Natychmiast przestaję myśleć o „Żarłoku". Otwieram usta (otwieranie ust w czasie silnych wybuchów ma duże znaczenie), w moje ślady idą wszyscy Czwartacy. Taki mają zresztą rozkaz. Z rozdziawionymi gębami, osmoleni dymem bliskich wybuchów — wyglądamy jak zgraja wariatów.

Po jakimś czasie zalega prawie zupełna cisza, przerywana tylko rzadkimi strzałami czołgów. Nie trwa jednak długo. Na powrót zaczynają grać nieprzyjacielskie karabiny maszynowe, a po kilku minutach dostaję meldunki, że na obu kierunkach, tj. od Wisłostrady i od „Czerwonego Domu", faszyści podnoszą się do szturmu. Nadeszła decydująca chwila. Od najbliższych dziesięciu minut zależą losy batalionu, pozycji, Starego Miasta...

Sytuacja jest podła.

Zagryzam wargi i choć serce wali mi w piersi jak oszalałe, mówię głosem spokojnym, który mnie samemu wydaje się jakiś obcy:

— W żadnym wypadku nie wolno nam opuścić stanowisk. Jeżeli nie pozwolimy nieprzyjacielowi wedrzeć się do garbarni i szkoły, będziemy mieli ułatwione zadanie. Rozumiecie? W przeciwnym wypadku zmuszeni będziemy przeciwuderzać...

Twarze chłopców są wychudłe i zarośnięte, w oczach ich pali się gorączka. Wiem, że Czwartacy nie zawodzą, a jednak boję się teraz... Tu przecież chodzi o losy całego batalionu, o Stare Miasto.

Zdaję sobie sprawę z tego, co mogłaby pociągnąć za sobą ucieczka kilku ludzi. Z drugiej strony... Jak zwykł mawiać mój dawny dowódca, pułkownik „Narbutt": „...Pamiętaj, synku. Zastanów się dobrze, nim wydasz rozkaz strzelania do własnych żołnierzy. Nie rób tego pochopnie, bo to jest rzecz straszna".

Za nami walczy Starówka. Krwawi, lecz nie poddaje się.

Nie patrząc więcej w oczy stojącym przede mną chłopcom, mówię ochryple do dowódcy mojego odwodu, sierżanta „Staśka". Dużo mnie kosztują te słowa.

— Do uciekających strzelać. Pozycja musi być utrzymana za wszelką cenę.

Zaczyna się...

Piechota faszystowska koszona seriami kaemów i automatów, lecz nie zatrzymana, zbliża się do naszych pozycji na rzut granatem. Czwartackie karabiny maszynowe, automaty i pistolety zieją ogniem prosto w twarze nadbiegających hitlerowców... Nie zatrzymamy ich z powodu skąpej ilości posiadanej przez nas broni. Zaczyna się straszna walka wręcz...

Na lewym skrzydle batalionu SS-mani wdzierają się do garbarni. Wrzeszczę do „Staśka":

— Natychmiast przeciwuderzaj odwodem. Juuuż!

Obsługa naszego „Piata" dwoi się i troi. Udaje się jej wreszcie zapalić „Tygrysa". Na wprost „Pekinu", na Wisłostradzie dymi podpalona przez AK-owców „Pantera". Czwartacy nie ustępują, biją się jak ludzie, którzy nie mają już nic do stracenia. Ich postawa i zaciekła, nieustępliwa obrona sprawiają wreszcie, że

hitlerowcy wycofują się na pozycję wyjściową za Wisłostradę, a my i AK-owcy z „Pekinu" ścigamy ich ogniem.

Ale i „Czerwony Dom" nie śpi — zasypuje nasze stanowiska gradem pocisków. W czasie nieustającej strzelaniny przedziera się do mnie z „Pekinu" zastępca dowódcy pozycji „Pekin" — podporucznik AK Orlikowski, odznaczony przez dowództwo Armii Ludowej Krzyżem Grunwaldu. Od niego dowiaduję się, że na ich odcinku również odparto szturm. Korzystając więc ze względnego, chwilowego spokoju piszę następujący meldunek do sztabu:

> 21.08.44. Godz. 8.40. M.P.
> Szturm nieprzyjaciela na linii „Pekin—Garbarnia—Szkoła" odparty. Spalono jeden czołg i jedno działo szturmowe. Straty własne: trzech zabitych, dziewięciu rannych. Nastrój dobry. Proszę o amunicję do karabinów maszynowych i automatów. Podpisano: „Gustaw"-por.

Wysyłam z meldunkiem łącznika, a potem obchodzimy z Orlikowskim czwartackie stanowiska. Oglądamy trupy zabitych w fabryce faszystów. Tak, nie mamy już wątpliwości — przeciwko nam walczą mieszane jednostki SS i Wehrmachtu.

Wracamy na pozycję. Kładziemy się z Orlikowskim ramię przy ramieniu na moim punkcie obserwacyjnym i lustrujemy szkłami linie hitlerowskie na Wisłostradzie.

Po niecałych trzydziestu minutach piechota nieprzyjacielska po raz drugi podrywa się do szturmu. Cekaemy sieką po naszych pozycjach długimi seriami. Widzę dokładnie, jak w naszym ogniu topnieje szara tyraliera. Nie spuszczając z niej wzroku, wołam do Orlikowskiego:

— Nie przejdą, psiekrwie!

Nie otrzymuję jednak odpowiedzi. Odwracam głowę... Orlikowski leży oparłszy czoło o przedramię prawej ręki, z której wysunęła się lorneta. Zrywam się na kolana i unoszę głowę w zdobycznym niemieckim hełmie. Z ciemnego otworu, w którym jeszcze przed chwilą

tkwiło oko, płynie szeroki strumień krwi, zalewa szarą twarz i wykrzywione grymasem śmierci usta. Zginął na miejscu, bez jęku i bólu. „O ileż lepsza jest taka śmierć, niż powolne konanie pod gruzami" — przelatuje mi przez głowę myśl.

Grzechot karabinów maszynowych cichnie. Tyraliera nieprzyjacielska ponownie cofa się za Wisłostradę.

O godzinie 10.20 otrzymuję kartkę ze sztabu z niezrozumiałym dla mnie pytaniem: „Kto dowodzi pozycją „Garbarnia — Szkoła?"

— Zwariowali, czy co u licha? — mówię wściekły, a potem, nie mając chwili czasu, dopisuję krótko:

„Ja! Podpisano: Gustaw".

Znacznie później dowiedziałem się, że było to nieporozumienie powstałe na skutek dwóch jednakowych pseudonimów. Otóż w czasie drugiego szturmu poległ żołnierz z plutonu sierżanta „Karlika" o pseudonimie „Gustaw". Sanitariusze wynosząc rannych słyszeli, jak ktoś wołał, że „Gustaw" jest zabity, i myśląc, iż chodzi o mnie, zameldowali o tym w sztabie. Stąd też kartka z zapytaniem, kto dowodzi pozycją.

...Zegarek wskazuje dziesiątą trzydzieści. Nie widać ruchu nieprzyjacielskiej piechoty. „Krowy" biją rzadko, zanosi się na krótką chwilę odpoczynku. Korzystając z tego przenoszę mój punkt dowodzenia do piwnicy pozycji „Szkoła".

W piwnicy wisi ciężkie, wilgotne powietrze. Siadam, tak jak stałem, i opieram się plecami o ścianę. Płomień świecy chybocze i drga od niedalekiej kanonady, przez grube mury coraz to przebiega konwulsyjne drżenie.

Świeca filuje i kopci. Za drewnianym przepierzeniem piwnicy siedzą cywile. Wiem, że przez szpary w deskach z zapartym tchem łowią każde moje słowo.

Kiedy wychodzę na górę, aby na własne oczy przekonać się, jak wygląda sytuacja, jakaś kobieta w chustce na głowie — starsza już wiekiem — nieśmiało zastępuje

mi drogę. Nie tylko ona... Tuż za nią, w piwnicznym mroku dostrzegam blade twarze innych, jest ich wielu.

— Proszę pana... Wy się nie wycofacie, prawda? — W głosie kobiety słychać rozpacz.

Zaprzeczam ruchem głowy i chcę ją minąć. Nie ustępuje jednak.

— Panie poruczniku, nie zostawicie nas tutaj? — nalega z kolei ktoś drugi.

W oczach otaczających mnie ludzi widzę lęk i nadzieję. Pocieszam ich szybko paroma słowami i odsuwając na bok kobietę w chustce, idę dalej.

Nie mam czasu. A oni wsłuchani w każde słowo, jak w wyrocznię, w każdy meldunek z pozycji, przeżywają najmniejszym nawet nerwem całą okropność beznadziejnej sytuacji. Widzę to i próbuję dlatego ich namówić, by wycofali się w górę Mostowej. Nie chcą jednak o tym słyszeć:

— Panie poruczniku... my tu mieszkamy... Dokąd tam pójdziemy, z dziećmi i chorymi? Boże!

Zżymam się, lecz w duchu przyznaję im słuszność. Bo rzeczywiście — dokąd pójdą! I serce ściska mi się na myśl, że przecież nadejdzie, musi nadejść chwila, kiedy batalion otrzyma rozkaz wycofania się w kierunku Freta. Co wówczas stanie się z nimi, z ludźmi, którzy w nas pokładli tyle zaufania, dla których my jesteśmy resztką nadziei? Zostaną tu, na pozycji określonej przez nas lapidarnym słowem „Garbarnia — Szkoła", zdani na łaskę i niełaskę pijanych SS-manów i Własowców. Wtedy ci ludzie błogosławiący nas teraz za to, że osłaniamy ich naszymi piersiami, będą nas później przeklinać. A przecież nie zasłużyliśmy na ich nienawiść... Klnę, bo czuję, że zapędzono nas w ślepy zaułek. Już nie pierwszy raz odnoszę takie wrażenie. Tak, bo przecież ja, jak i setki innych szarych oficerów liniowych, walczących w powstaniu, dajemy z siebie

wszystko, co tylko dać możemy. Robi mi się coraz ciężej na duszy.

W piwnicy świeca dopala się chybotliwym, nikłym ogieńkiem, gdy wchodzi łącznik i melduje mi, że sierżant „Karlik" został odprowadzony do szpitala.

W pierwszej sekundzie nie mogę zrozumieć, o co mu chodzi. Zaczerwienione, obrzmiałe od niewyspania i kurzu powieki pieką żywym ogniem... Trę je wierzchem dłoni. Pytam:

— Jak to?

— Dostał odłamkiem w kark, obywatelu poruczniku...

„Karlik", jeden z najdzielniejszych podoficerów trzeciej kompanii, był mi szczególnie bliski. Wiele wspólnie przeprowadzonych akcji bojowych związało nas węzłami prawdziwej przyjaźni. „Gustaw", który zginął w obronie garbarni, był jego ciotecznym bratem. Teraz ranili i jego...

Na Wisłostradzie płoną stalowe cielska „Tygrysa" i „Pantery", porozrywane już eksplozjami amunicji i paliwa. Po raz drugi tego dnia przychodzi mi na myśl „Żarłok" i jego słowa... Kto wie, może miał i rację? „Tygrys" rzeczywiście pali się dłużej i jaśniej.

Zwlekam się na dół, do piwnicy, i z miejsca otoczony zostaję gromadą cywili, którzy widać czekali tylko na tę chwilę. Na ich pytania odpowiadam automatycznie:

— Zostaniemy, nie damy się.

W tym momencie wpada goniec pierwszej kompanii.

— Obywatelu poruczniku, od strony „Czerwonego Domu" naciera piechota wsparta pancernymi wozami zwiadowczymi.

Natychmiast daję dyspozycję podporucznikowi „Heńkowi": „Otworzyć ogień z karabinów maszynowych na „Czerwony Dom", obsługa „Piata" niech się zamelduje do dyspozycji dowódcy pierwszej kompanii".

Piwnica huczy i dudni od coraz to bliższych, głośniej-

szych wybuchów, które tam, w górze, teren szkoły i garbarni zaczynają przemieniać w istne piekło.

Z kolei wbiega łącznik trzeciej kompanii. Nie mówi już, lecz krzyczy:

— Obywatelu poruczniku! SS-mani wdzierają się do fabryki!

Przecieram raz jeszcze napuchłe, zaczerwienione powieki. „Zaczyna się znów."

— Szykuj chłopców! — rzucam sierżantowi „Staśkowi. — Niech biorą butelki... Będziemy kontratakować.

Za drewnianym przepierzeniem piwnicy słyszę poruszenie, a zarazem po tym radosne głosy:

— Słyszycie! Nie uciekają, będą kontratakować!

Wkładam za pas granaty trzonkowe i powtarzam bezmyślnie, samymi tylko wargami: „Nie uciekamy, nie uciekamy. Będziemy kontratakować!"

NATARCIE NA DWORZEC GDAŃSKI

Stare Miasto dotkliwie odczuwało odcięcie od Żoliborza, połączenie kanałami było niewystarczające — lecz próby zmiany położenia na lepsze nie zostały uwieńczone sukcesem. Praktycznie rzecz biorąc Starówka, czyli według nomenklatury powstańczej: GRUPA PÓŁNOC, pozbawiona była możliwości otrzymania pomocy z zewnątrz bądź też ewakuowania rannych.

Tak wyglądała sytuacja, gdy dowództwo sił powstańczych zdecydowało przeprowadzić operację mającą na celu połączenie obu tych „kotłów". Zgodnie z planem, uderzenie miało być przeprowadzone z dwóch kierunków: od strony Żoliborza miało nacierać zgrupowanie Armii Krajowej majora „Okonia", a ze Starówki pododdziały batalionów AK „Zośka" i „Czata" oraz batalion AL „Czwartacy".

Batalion Czwartaków bronił w tym czasie pozycji na ulicy Mostowej. Na rozkaz majora „Ryszarda" Czwartacy zostali zluzowani przez pododdziały trzeciego batalionu AL i przeszli w rejon wyczekiwania w pobliżu szpitala Jana Bożego, w bezpośrednim sąsiedztwie którego grupowały się dwie kompanie batalionu „Zośka".

Godzina rozpoczęcia natarcia została ustalona i podana nam do wiadomości: 22.30.

21 sierpnia 1944 r.

O godzinie dwudziestej pierwszej nawiązuje z nami kontakt starszy sierżant podchorąży „Kmita", dowódca pierwszej kompanii batalionu „Zośka". Uzgadniamy

zabezpieczenia styków między jednostkami oraz sposoby sygnalizowania, po czym — przed godziną dwudziestą drugą — bataliony wychodzą na podstawę wyjściową do natarcia w zawalony gruzami teren leżący na północ od szpitala.

Noc jest pogodna. Wieje ledwo wyczuwalnym chłodem z placu porośniętego rzadką trawą i chwastem. Za nami, na barykadach Starówki terkoczą pistolety maszynowe. Fosforyzowane wskazówki zegarka pełzną przed siebie straszliwie wolno, jak to się zwykle wydaje przed walką.

Przed nami znajdują się oddziały niemieckie ze zgrupowania generała Reinefartha. Hitlerowcy nie prowadzą ognia, najprawdopodobniej nie wykryli jeszcze przegrupowania sił powstańczych i nie spodziewają się niczego złego. Od strony ich pozycji co parę minut wzbija się w niebo oświetlająca rakieta, wystrzeliwana — jak to zwykli mawiać chłopcy — „dla świętego spokoju".

Zaraz po dwudziestej drugiej do „Konrada" (ppłk Lech Kobyliński, dowódca batalionu im. „Czwartaków") dociera łączniczka z dowództwa. „Konrad" słucha meldunku złożonego szeptem, po czym z wyraźną niecierpliwością spogląda na zegarek:

— Żeby to krew zalała!

Co się okazuje. Termin rozpoczęcia natarcia przesunięto na godzinę 0.30...

22 sierpnia 1944 r.

Leżymy za zwałami cegieł. Czas dłuży się niemiłosiernie — nie wolno palić. Batalion przemęczony uporczywie walkami nad Wisłostradą zapada ni to w półsen, ni to w odrętwienie. Przymusowa bezczynność i wielogodzinne oczekiwanie robią swoje: oczy coraz bardziej klei sen.

Leżymy i czekamy. Po upływie godziny termin rozpoczęcia natarcia zostaje powtórnie przesunięty, tym razem na 2.30.

Nareszcie. Punktualnie o drugiej trzydzieści na sygnał podany przez „Konrada" Czwartacy podrywają się do natarcia i wybiegają tyralierą na odkryty teren oddzielający nas od Dworca Gdańskiego. Prawie równocześnie rusza naprzód batalion „Zośka", a niecałą minutę później — batalion „Czata", nacierający od strony budynków zakładu remontowego samochodów „Fiat".

Ciche przed chwilą pozycje niemieckie rozszczekały się nie milknącym ogniem automatów i karabinów maszynowych. Koło uszu przeciągle świszczą pociski, zwalają się na ziemię pierwsi ranni i zabici. Rakiety zalewają pole bitwy jaskrawym, migocącym światłem i rzucają na ziemię długie cienie biegnącej tyraliery.

Niekiedy do moich uszu dochodzą z kierunku północnego odgłosy niemniej silnego ognia — to walczy żoliborska grupa.

Biegniemy sto, dwieście, czterysta metrów... aż nagle odzywają się hitlerowskie moździerze. Pod nogami tyraliery rozrywają się miny. Ich eksplozjom i świergotowi odłamków odpowiada jęk rannych. Kompanie zalegają.

— Bij po cekaemach! — niesie się wzdłuż linii.

Leżąc na gołym polu, bez żadnej osłony, a pod ogniem moździerzy, zaczynamy ostrzeliwać hitlerowskie stanowiska broni maszynowej. Ogień broni płaskotorowej nieprzyjaciela słabnie po chwili wyraźnie i tylko moździerze zbierają nadal swoje krwawe żniwo.

W tym samym czasie w rejon dworca hitlerowcy podciągnęli pociąg pancerny. Jego szybkostrzelne działa obrzuciły nas nową lawiną ognia i stali. Dla wszystkich stało się jasne, że dalsze pozostawanie na osiągniętej linii było bezcelowe — mogło przynieść jedynie jeszcze

większe straty. Trzeba więc albo przeć do przodu, albo wycofać się...

„Konrad“ zdecydował:

— Nacieramy!

— Do szturmu. Naprzód!

Przerzedzone kompanie znowu podrywają się przed siebie. Tory są blisko, niemal tuż, tuż... Batalion „Zośka“ najprawdopodobniej walczy już wręcz — słychać wybuchy granatów... Batalion „Czata“ prze nieustannie, zawzięcie do przodu. Jeszcze jeden wysiłek i opanujemy budynki dworca.

— Naprzód, chłopcy!

Niepowodzenie przyszło ze strony najmniej oczekiwanej: załamało się w ogniu nieprzyjaciela natarcie grupy żoliborskiej. Rozbite oddziały majora „Okonia“ zaczęły spływać w kierunku centrum Żoliborza. A wtedy cała siła potężnego kontrataku Niemców uderzyła w grupę Starego Miasta..

I znów huragan ognia. I znów robi się widno, jak w dzień. Sanitariuszki dokonują po prostu cudów opatrując i wynosząc rannych. Dowódcy kompanii meldują o coraz większych stratach. Od strony wiaduktu zaczynają odzywać się jakieś nowe, nie włączone dotychczas do akcji cekaemy. Hitlerowcy znowu otrzymali posiłki.

Zdajemy sobie sprawę z bezcelowości dalszego kontynuowania natarcia. „Zośka“ również się wycofuje; podchorąży „Kmita“ ranny, ma przestrzeloną rękę.

Wstrzymujemy faszystów ogniem czwartackich automatów. Trzeba umożliwić ewakuację rannych. Niebo zaczyna szarzeć, gdy ostrzeliwując się mijamy naszą podstawę wyjściową.

Chłopcy palą papierosy zaciągając się głęboko, łapczywie. Twarze mają popielate ze zmęczenia, oczy podkrążone i błyszczące. Nasiąknięte krwią minuty nocnego boju o Dworzec Gdański mamy poza sobą.

Nad Żoliborzem i Starówką już trzeci tydzień łuny zaciągają czerwienią gwiaździste niebo.

Uświadamiam sobie po raz nie wiadomo który z rzędu, że przecież Stare Miasto musi wreszcie paść.

DZIEŃ OGNIA I ŚMIERCI

Oficjalna kwatera sztabu AL „Warszawa" mieściła się w restauracji na rogu Freta i Świętojerskiej, tam też kwaterowała ochrona sztabu, którą dowodziłem. Jednakże wszystkie ważniejsze odprawy odbywały się w prawej, tylnej oficynie domu Freta 16, w domu, w którego frontowej oficynie kwaterował prawie cały batalion Czwartaków, a w piwnicy pod lokalem sztabu znajdowały się koszary Służby Bezpieczeństwa AL.

W dniu, o którym piszę, około godziny czternastej sztab obradował w swoim lokalu na Freta 16. Był to jeden z najgorętszych dni, jakie do tego czasu przeżyła Starówka... Od rana, co pół godziny nadlatywały „Stukasy" i w różnych punktach dzielnicy zrzucały swój śmiercionośny ładunek.

26 sierpnia 1944 r.

Starówka płonie. Większa część domu obrócona jest w gruzy. Płonie Rynek, Długa, Freta i Zakroczymska. Leży w gruzach katedra Świętego Jana, zburzona, ale niezwyciężona do ostatka, broniąca się uparcie, bez przerwy siejąca ogniem automatów trzeciej kompanii Czwartaków. Hitlerowcy niszczą wieże kościołów, nagie kikuty kominów — wszystkie wyższe punkty sterczące jeszcze nad rumowiskiem Starego Miasta. Świadczy to o tym, że mają oni już tak doskonale wstrzelane działa, iż nie posiadając punktów orientacyjnych mogą strzelać na bliskie dozory. Na ulicach poniewierają się trupy, których nie starcza czasu grzebać. A Niemcy nie przerywają ognia.

Leżę na łóżku w piwnicy domu na rogu Freta i Świętojerskiej, gdy straszny huk wstrząsa nagle naszą kwaterą. Na głowy leci piasek, spadają kawałki cegieł. Jednocześnie do piwnicy przedostaje się gęsty kurz powstający przy wybuchu bomb i ciężkich pocisków artyleryjskich. Robi się duszno... W świetle stojącej na cegle świeczki widzę pobladłe twarze Czwartaków. Trwa to jednak zaledwie moment, bo świeczka gaśnie zaraz od silnego podmuchu.

Klnę na czym świat stoi. Długi czas macam po łóżku, nie mogąc natrafić ręką na automat. Wreszcie mam. Zarzucam go sobie na szyję i po omacku ruszam w kierunku, gdzie powinno znajdować się wyjście. Kurz jest tak gęsty, że reflektorowa latarka elektryczna nie przebija go dalej niż na krok. Potykam się o jakieś przedmioty, których nie jestem w stanie rozpoznać, o zwały gruzu, którego tu przedtem nie było.

Idąc pomału, krok za krokiem, natykam się na powracających chłopców, którzy wcześniej ode mnie podążyli ku wyjściu.

— Gdzie, do ciężkiej cholery?! — mój krzyk osadza ich w miejscu.

— Obywatelu poruczniku, wyjście zasypane! — melduje któryś. Nie wiem nawet kto. Kurz osiada na rzęsach, czuję go między zębami.

„Wyjście zasypane!" Jakby mnie ktoś zdusił za gardło. Włosy stają mi dęba, aż czapka „panterka" unosi się do góry. Pojmuję nareszcie, że bomba trafiła w nasz dom. Po plecach ściekają mi strużki potu... Jeżeli frontowa ściana zawaliła się na zewnątrz, na ulicę, i zasypała gruzem okienka naszej piwnicy, to znaczy, że jesteśmy w tej ciasnej klitce zamknięci, jak myszy w pułapce, odcięci od świata.

Nie wolno jednak tracić przytomności umysłu. Na mój rozkaz Czwartacy wdrapują się na ścianę, aby dostać się do wysoko umieszczonego, wąskiego okienka. W ruch idą noże — prują ochronne worki, którymi okienko jest zawalone, zsypują do piwnicy piasek.

W ciemnym, dusznym wnętrzu piwnicy panuje takie naprężenie, że słyszę tylko sapanie pracujących chłopów, szmer sypiącego się na podłogę piasku, dalekie stłumione wybuchy i głośne, szybkie bicie mojego serca. Nie wiem, jak długo to wszystko trwa — minutę, dwie, pół godziny, a może wiek cały?...

Wreszcie jest. Promień jasnego, dziennego światła przedostaje się przez szparę między workami, pełznie w głąb piwnicy, aż wreszcie zalewa ją całą oślepiającym blaskiem.

Następuje ulga tak ogromna, że aż przytłaczająca.

Z trudem pokonuję drżenie głosu:

— Wychodzić!

Wyłazimy przez wąski otwór, jeden za drugim, pomagając sobie wzajemnie.

Mrużę przyzwyczajone już do ciemności oczy i zataczam się jak pijany. Jak dobrze jest móc odetchnąć, nabrać w płuca haust świeżego powietrza. Dopiero teraz, gdy oczy pomału przyzwyczajają się do światełka, spostrzegam, że jesteśmy od stóp do głów obsypani ceglanym pyłem.

Stoimy na chodniku bezradną grupką, trochę jeszcze oszołomieni, i przyglądamy się kupie gruzów, która niedawno jeszcze była domem, a co najważniejsze — naszą kwaterą.

Z depresji wyrywa mnie dopiero głos:

— Obywatelu poruczniku, od kapitana „Konrada"...

Przede mną stoi zakurzony Czwartak. Zacinając się, melduje mi, że na Freta 16 nasz sztab przysypany gruzami.

Nieprzytomny z przerażenia i rozpaczy ruszam biegiem w stronę Freta 16. Potykam się co chwila, przeskakuję zwały gruzu, jakie utworzyły się na jezdni wskutek zawalenia się naszego domu. W głowie kłębią się dziesiątki myśli, gmatwają, lecz nad tym wszystkim dominuje jedna — najważniejsza, przejmująca dreszczem: „Sztab zasypany!"

Chłopcy z ochrony dowództwa, dobrze rozumiejąc grozę sytuacji, bez rozkazu biegną za mną.

Brama domu przy ulicy Freta 16 dosłownie zawalona jest trupami. Leżą tu wszyscy, którzy w chwili wybuchu bomb znajdowali się w bramie lub na podwórzu. Mężczyźni, kobiety, dzieci... Między innymi dostrzegam kilka trupów ubranych w „panterki". Nie zatrzymuję się przy nich, aby rozpoznać kto to. Tam, pod zwałami gruzu znajduje się sztab...

Wbiegam na podwórze i widzę dwie wyrwy w domu, jakby wycięte ogromnym nożem, od dachu do suteren. Jedna akurat w miejscu, w którym mieścił się sztab, druga — w lewej oficynie, gdzie mieszkali cywile i kwaterowały drużyny czwartackie. Na kupie gruzów, pod którą leży sztab, dostrzegam odwalających gorączkowo cegły: „Konrada" z potłuczoną cegłami głową, „Hankę", sierżanta „Sępa" i kilku Czwartaków. Wysyłam kilku moich chłopców, żeby przyprowadzili jeńców niemieckich, a sam — przerzuciwszy automat przez plecy — zabieram się gorączkowo do roboty.

Kupa gruzu osypuje się przy najmniejszym ruchu, grozi jeszcze większym zawaleniem. Mocują się z szynami — pogiętymi i skręconymi wybuchem — gruz wali się.

— Uważaj! — krzyczę do „Konrada" i odskakuję w bok.

Cegły z rumorem lecą w dół, pociągają za sobą jakąś pogiętą, spłaszczoną wannę, zasypują wydrążony przez nas z takim mozołem korytarz.

Pracujemy w milczeniu, z determinacją. Po dziesięciu minutach dogrzebujemy się wreszcie do okienka piwnicznego. W tym miejscu strop wytrzymał.

Właziмy do piwnicy w trójkę: „Hanka“, „Sęp“ i ja. Gruz sypie się na głowę, za kołnierz, utrudnia widoczność. Grzebiemy się w nim, aż po kilku minutach poszukiwań natrafiamy na kapitana „Romana“. Leży na ziemi, nogi ma przygniecione gruzem. Zdejmujemy z niego cegłę po cegle, ale jest to syzyfowa robota; gruz obsypuje się ciągle i praca wcale nie posuwa się naprzód.

Kiedy zaczynamy tracić już siły, przychodzą chłopcy z jeńcami. Jest ich dwudziestu. Wyłazimy z „Hanką“, a ja, wobec tego, że moja znajomość języka niemieckiego jest bardzo skromna i ogranicza się do słów, które były mi najbardziej potrzebne w moich stosunkach z okupantem, w rodzaju: „Hände hoch!“, „Halt!“, „Still!“ itp., pokazuję im na migi, że mają wchodzić przez okienko do piwnicy.

Ale tu staje się rzecz dziwna. Zwykle potulni jeńcy niemieccy odmawiają wykonania rozkazu. Tłumaczą mi hałaśliwie, jeden przez drugiego, że piwnica grozi zawaleniem.

Wściekłość mnie poniosła. Najbliżej stało rosłe chłopisko — brudne i zarośnięte ryżym zarostem — w mundurze, na którego czarnych wylogach zachowały się jeszcze odznaki SS. Bełgotał coś gorączkowo, a ja z tego wszystkiego rozumiałem tylko jedno: „nein“ i „nein“. Wściekłość niepohamowana przysłoniła mi oczy. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, zerwałem z pleców „Schmeisera“, zamierzyłem się... SS-man poleciał do tyłu jak wyrzucony z katapulty i rozciągnął się na ziemi. Poskutkowało. Pozostali hitlerowcy, jeden za drugim, poczęli na wyścigi wskakiwać w ciemną czeluść piwnicy.

Po godzinie wytężonej pracy wydostaliśmy spod gruzów kapitana „Romana“, wieczorem „Zygmunta“ i „Jasię“ ze Służby Bezpieczeństwa, a dopiero o godzinie dwudziestej pierwszej zwłoki kapitana Krzemińskiego i porucznika „Nastka“...

Dobici i bezradni staliśmy nad małym piwnicznym okienkiem otoczonym zewsząd rumowiskami gruzów. Dalej kopać nie było sił, środków, a otwarcie mówiąc — sensu, bo stropy były oberwane i żaden człowiek nie przeżyłby tylu godzin, przygnieciony tonami gruzu.

Jeńców odprowadzono do obozu.

Usiadłem na kupie cegieł i ocierając pot z brudnego czoła po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że zostaliśmy bez dowództwa, że ukochany przez nas, Czwartaków, „Ryszard“ nie żyje.

Z bramy doszło mnie głośne szlochanie; to matka płakała nad ciałem ośmioletniego dziecka zabitego potwornym podmuchem bomby.

Na czystym, bez chmurki niebie zajaśniały pierwsze gwiazdy. Moździerze hitlerowskie biły ogniem nękającym po Starym Mieście. Wstałem z cegieł i jak nieprzytomny powlokłem się w kierunku kwatery „Konrada“.

Do końca życia nie zapomnę tej pierwszej po śmierci „Ryszarda“ odprawy. W księgarni, w domu przy ulicy Freta 5 zebraliśmy się wszyscy pozostali przy życiu oficerowie liniowi Armii Ludowej: kapitan „Hiszpan“, kapitan „Konrad“ (kontuzjowany), podporucznik „Heniek“ i „Edward“, porucznik-lekarz „Ewa“ i ja.

Z miejsca, bez żadnych osłonek, stanęła przed naszymi oczami cała beznadziejność sytuacji. Żaden z nas nie znał planów dowództwa, nie mieliśmy łączności z Żoliborzem ani ze Śródmieściem, byliśmy oderwani od wszystkich, zdani tylko i wyłącznie na nasze własne siły.

W pewnym momencie „Edward" powiódł po wszystkich wzrokiem i powiedział to, co od kilku już dni gnębiło każdego z nas:

— Słuchajcie... Co zostanie z obu batalionów, o ile jeszcze przez parę dni będą broniły Starówki?

W księgarni zawisła cisza, w której słychać było jedynie w nieregularnych odstępach wybuchy min moździerzy i daleką — wzmagającą się, to znów cichnącą — strzelaninę na barykadach miasta.

— Co z nich zostanie? — powtórzył „Edward".

Milczeliśmy jeszcze dłuższą chwilę, aż wreszcie „Heniek" siedzący obok mnie, wstał i odrzekł po prostu:

— Gówno.*

W rezultacie dyskusji, która rozgorzała wokół pytania: zostać czy nie zostać na Starówce, uzgodniliśmy, że trzeci batalion w całości wycofa się kanałem na Żoliborz wraz z częścią batalionu Czwartaków, druga zaś część batalionu Czwartaków zostanie na Starym Mieście, pod moim dowództwem, aby walczyć do końca. Potem zaś, to znaczy po ewentualnym upadku Starówki, mam przebijać się kanałami lub górą, jak się uda i gdzie się uda, na Żoliborz lub do Śródmieścia. Grupa mająca iść na Żoliborz odmaszeruje następnej nocy, to jest z dnia 27 na 28 sierpnia.

Po odprawie chciałem porozmawiać z „Konradem", więc położyłem się obok niego na materacu. Zmęczenie jednak wzięło górę i zaledwie przyłożyłem głowę do poduszki — usnąłem.

---

* Sądzę, że nieodzowna jest tu mała dygresja. W podobnej sytuacji znalazł się pod Waterloo generał francuski Cambronne, który na pierwsze wezwanie do poddania odpowiedział: „Gwardia umiera, lecz nie poddaje się", na drugie zaś — stojąc z dobytą szpadą w pierwszym szeregu ostatniego czworoboku — odparł krótko: „Merde". Na usprawiedliwienie ppor. „Heńka" muszę zaznaczyć, że od czasu Waterloo słowo to zdobyło sobie prawo obywatelstwa w historii i literaturze francuskiej.

Obudziłem się, gdy słońce stało wysoko na niebie. „Stukasy" krążyły nad Starówką, jak sępy nad padliną. Ze wszystkich stron słychać było nieustającą ani na chwilę strzelaninę na barykadach.

Starówka konała, nie wypuszczając broni ze słabnącej ręki.

MORITURI TE SALUTANT...

28 sierpnia 1944 r.

Dzisiejszej nocy odmaszerował kanałem na Żoliborz trzeci batalion wraz z kilkoma plutonami Czwartaków. Ludzie wyczerpani do cna, zdawać by się mogło — wypruci z resztek sił. Jedni zgnębieni i dobici, inni znów szczęśliwi. Jakże naiwni! Widziałem twarze tych ostatnich; wychudłe, pokryte wielodniowym zarostem, bezbarwne i szare, jak szare jest jedno wielkie rumowisko dzielnicy, którą opuszczają. I tylko oczy tych ludzi lśniły blaskiem, jakiego nadaremnie szukałbyś w nich przez ostatnie kilka dni. Naiwni. Znikali w ciemnym otworze włazu gorączkowo, radośni, że uchodzą śmierci i łudząc się widocznie, iż po opuszczeniu staromiejskiego piekła czeka ich wytchnienie. Jakby nie wiedzieli, że Żoliborz musi podzielić losy Starówki.

Zostałem sam jeden, jako dowódca AL-owskch oddziałów na Starym Mieście. Mam do pomocy podporucznika „Heńka" i lekarkę „Ewę".

„Krowa" — sześciolufowy rakietowy moździerz niemiecki — ani na chwilę nie przerywa swojej niszczycielskiej roboty. Nie reaguję już na jej ryk, po prostu przywykłem do niego. Bywają momenty, kiedy wydaje mi się, że bez tego ryku, bez nurkujących „Stukasów", bez jednego wielkiego — buchającego tu i ówdzie płomienia — rumowiska kamienic, ulic i kościołów, określanego kiedyś na planie Warszawy jako Stare Miasto, nie może być życia i nas, Czwartaków, którzy tu pozostali.

A życia wśród gruzów Starówki jest coraz mniej; gaśnie ono z każdą chwilą. Olbrzymie miny seriami, po sześć sztuk, niesamowitym zgrzytem oznajmiając opuszczenie wyrzutu, padają raz po raz, sieją śmierć i zniszczenie. Ludzie zabici ich potwornym podmuchem leżą na ulicach pomasakrowani, nierzadko porwani na części; nago, bez ubrań, które zerwała z nich potężna siła wybuchu.

Nikt dzisiaj nie przejmuje się widokiem trupów, nikt już nie odnajdzie w sobie współczucia. Ludzie otępieli na tyle, że widok śmierci nie robi na nich najmniejszego wrażenia. Przechodzą obojętni na widok zabitych, tłukąc się po małym obszarze Starówki — osaczeni, zaszczuci, na próżno szukający z niej wyjścia.

Nie tylko zresztą oni. Całe wojsko, broniące Starówki — tak AK-owcy jak i AL-owcy — opanowane jest jedną myślą: „Wydostać się stąd. Za wszelką cenę wydostać się z tego piekła". Na odprawie u pułkownika Wachnowskiego, dowódcy AK Śródmieście—Północ (Stare Miasto), dowiaduję się, że sytuacja jest naprawdę tragiczna.

Połączenia z Żoliborzem nie ma, hitlerowcy podobno zerwali kanał.

Odprawa trwa. Pułkownik Wachnowski milczy jakiś czas i pociera w zamyśleniu podbródek, później zaś mówi monotonnym głosem, starannie dobierając słowa:

— A więc ad rem, panowie... Ewakuacja całego wojska kanałem do Śródmieścia jest, że tak powiem, technicznie niewykonalna. Przede wszystkim ze względu na to, iż trwałaby bardzo długo. Oddziały maszerujące niskimi kanałami siłą rzeczy zmuszone by były posuwać się niezwykle wolno. Uważam więc, że kanałami tymi należy ewakuować część rannych, druga zaś część rannych przejdzie do Śródmieścia, osłaniana przez grupy bojowe, przejściem, które wybiją w pierścieniu

niemieckim bataliony szturmowe. Szczegóły przebicia się przedstawi panom major „Tomir".

Plan przebijania, przejścia i ewakuacja całego wojska opracowany przez majora „Tomira", zdolnego oficera ze sztabu pułkownika Wachnowskiego, był w zasadzie dobry, ale jedynym i największym zarazem jego mankamentem było to, że do wykonania go potrzebne były niezwykle precyzyjne posunięcia. W duchu obawiałem się, iż praktycznie okaże się on nierealny.

Na zakończenie odprawy bataliony otrzymują zadania. Czwartacy nie mają odegrać w tej akcji specjalnie ważnej roli ze względu na to, że batalion nasz jest strasznie zdekompletowany (zostało około pięćdziesięciu procent ludzi).

— Pan, poruczniku „Gustaw" — zwraca się do mnie pułkownik — opuści pozycję „Garbarnia—Szkoła" punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej zero zero. A następnie przejdzie pan z batalionem na Długą, w okolicę kinematografu. Wszystko jasne?

— Tak jest, obywatelu pułkowniku.

— W takim razie żegnam pana.

Wyszedłem więc ze sztabu z obawą, że wszystko to, co słyszałem od pułkownika Wachnowskiego i majora „Tomira" — musi wziąć w łeb. Przeanalizowałem raz jeszcze całą sytuację... Godzinę przed północą mamy wycofać się z odcinka „Garbarnia—Szkoła"—„Pekin" i zameldować się koło kinematografu. Grupa naszych rannych, prowadzona przez personel szpitalny pod dowództwem doktora „Ewy", ma się tam stawić o dwie godziny wcześniej. Co będzie dalej? Czy w tłumie wycofujących się powstańców nie wybuchnie przypadkiem panika? Pełen wątpliwości i sprzecznych uczuć udałem się do batalionu.

Zapadł wieczór, ostatni, który w myśl założeń pułkownika Wachnowskiego mieliśmy spędzić na dogorywającej Starówce.

O dwudziestej trzeciej dałem rozkaz opuszczenia pozycji, której obrona tak drogo nas kosztowała.

Wycofujemy się Mostową ze ściśniętym sercem, cichcem, nie patrząc sobie w oczy. U wylotu ulicy natykam się na grupkę cywilów. Początkowo przyglądają się nam w niemym milczeniu, potem jeden z nich, staruszek w kolejarskiej czapce, o zmierzwionej, białej jak śnieg brodzie, ujmuje mnie za przegub ręki i pyta nad wyraz spokojnie:

— Zostawiacie nas?

Nie śmiem spojrzeć w starczą twarz, niby pergamin pokrytą siateczką zmarszczek. Bąkam coś pod nosem.

— Proszę pana, to już koniec? — ponawia nieśmiało pytanie.

Podnoszę wreszcie wzrok i w świetle bliskiego pożaru widzę, że uśmiecha się samymi tylko kącikami ust, żałośnie i nieśmiało, jakby mnie za coś przepraszał. Jego kolejarska czapka ma duży daszek, złamany pośrodku i zszyty, może nie dawniej niż przed dwoma dniami, grubym, czystym jeszcze sznurkiem.

Nie. Choć brzydzę się kłamstwa, nie mogę jednak teraz zdobyć się na prawdę. Patrząc na zgarbione, przemykające chyłkiem postacie Czwartaków, jąkam:

— Widzi pan... Skądże? Nas tylko luzują... Wrócimy tu jeszcze.

— A ja myślałem, proszę pana, że to już koniec.

Umykam przed jego wzrokiem, przed tym uśmiechem, który rozjaśnia nagle starcze, wyblakłe oczy. Jakże to wszystko boli.

Wchodzimy w Długą. Na widok olbrzymiego tłumu żołnierzy ze wszystkich jednostek, pchających się w stronę kinematografu, utwierdzam się w przekonaniu, że z planowanego przez pułkownika Wachnowskiego przejścia trzeba będzie dzisiaj zrezygnować.

Tłum napiera na nas, grozi zalaniem. Wydaję rozkaz, aby chłopcy trzymali się jeden drugiego, w prze-

ciwnym razie możemy się pogubić. Siłą, napierając coraz mocniej, przepychamy się w stronę kinematografu.

Docieramy do Placu Krasińskich. P u s t o! Od Senatorskiej, wzdłuż Miodowej jest ostrzał z faszystowskich karabinów maszynowych. Na jezdni, tu i ówdzie ciemnieją nieruchome, rozciągnięte na asfalcie postacie. Jedna leży nie opodal. W poświacie księżyca i blasku dogasających pożarów rozróżniam biało-czerwoną opaskę na rękawie i dziewczęce rysy twarzy, zastygłe jak gdyby w zdumieniu.

Przebiegamy ten odcinek tyralierą. U wylotu Miodowej, gdzieś na skrzyżowaniu z Senatorską, zaczyna nagle szczekać karabin maszynowy... Słyszę nad głową przejmujący świergot pocisków; klaskają o asfalt, o powyrywane z chodnika płyty.

Przebiegamy otwartą, nie osłoniętą niczym przestrzeń placu i znów jesteśmy na Długiej, i znów chwytamy się za ręce, aby nie pogubić się w tłumie. Przepychanie staje się coraz trudniejsze — tłum faluje, przelewa się i gęstnieje. Przemy do przodu, torując sobie drogę łokciami, aż wreszcie niemal pod samym kinematografem batalion grzęźnie w miejscu. Zostaje unieruchomiony.

W tym samym czasie batalion AK „Parasol" podrywa się z podstawy wyjściowej, która mieści się w Banku Polskim i z wściekłą rozpaczą uderza na hitlerowców znajdujących się na Bielańskiej. Grzechoczą automaty, idą w ruch granaty. „Parasol" stawia wszystko na jedną kartę. AK-owcy biją się z determinacją i choć ponoszą ciężkie straty, wdzierają się do domów po drugiej stronie ulicy, zdobywają je i prąc dalej docierają do Senatorskiej. Za nimi rusza jak huragan niszcząc wszystko przed sobą drugi batalion Armii Krajowej „Zośka". Jeszcze raz podrywa się do szturmu „Parasol", zdobywa razem z „Zośką" ulicę Senatorską

i część Placu Bankowego. Po chwili walczą już w Ogrodzie Saskim, coraz bliżej zbawczej Królewskiej.

Niestety, bataliony, które miały obsadzić przerąbane przejście, stoją nieruchome w tłumie, bezsilne i niezaradne. Ich dowódcy bezskutecznie usiłują zebrać swoich ludzi i przedostać się przez kinematograf na Bielańską.

Tymczasem, gdy Długa rozbrzmiewa histerycznymi rozkazami i krzyżującymi się ze sobą nawoływaniami, bataliony „Parasol" i „Zośka" docierają już do Królewskiej. Przebiły się. Oba bataliony mają ogromne straty; walczyły na Woli, przez cały czas na Starówce, a teraz jeszcze ten szalony szturm, który pochłonął masę ofiar...

Wszystko nadaremnie. Hitlerowcy zorientowali się w sytuacji i zdecydowanym przeciwuderzeniem odcinają drogę do Śródmieścia, wyrąbaną przez „Parasol" i „Zośkę" kosztem tak wielkich ofiar. Starówka znów jest odcięta od Śródmieścia i pozostawiona sama sobie. Jednostki powstańcze, które pozostały na Starym Mieście, nie mają znikąd nadziei na wycofanie się.

Stało się więc to, czego się najwięcej obawiałem. Bataliony z trudem wyławiając z tłumu swoich ludzi odmaszerowywują na swoje dawne pozycje.

Noc z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego jest piękna, choć chłodna i rozdzierana seriami broni maszynowej. Na granatowym niebie, rozciągniętym nad płonącą Warszawą, skrzą się gwiazdy. Obojętne i nieczułe na losy miasta, które zostało skazane na zagładę.

Schodzimy Mostową w dół, tak samo jak ją opuszczaliśmy. Ludzie milczą, a pod butami trzeszczą okruchy szkła... Obsadzamy znów garbarnię i szkołę. Czwartackie karabiny maszynowe wracają na opuszczone przed kilkoma godzinami stanowisko.

Noc jest chłodna. Znad Wisły ciągnie wilgotne powietrze. Leżę na punkcie obserwacyjnym i zastanawiam się, jakim cudem hitlerowcy nie spostrzegli, że pozycja ta przez całą noc była opuszczona, jak zresztą wszystkie inne... Przecież gdyby do tego doszli, mogliby z dwóch stron ustawić na Długiej cekaemy i wystrzelać dziewięćdziesiąt procent stłoczonych tam ludzi. Problem Starówki byłby dla nich, no i dla nas, definitywnie skończony.

29 sierpnia 1944 r.

Przed południem nad szkołą i garbarnią pojawiają się znów „Stukasy". Biją po naszym odcinku, a potem wykańczają resztę nie tkniętych domów na Mostowej. W powietrzu unosi się swąd spalenizny.

Przemykam się Mostową w dół, kiedy „Stukasy" zaczynają tłuc z broni pokładowej. Wskakuję w najbliższą bramę, która się jeszcze zachowała. Przebiegam kilka kroków i wydostaję się na podwórze. W miejscu lewej oficyny piętrzy się sterta cegieł i pogruchotanych belek, na której szczycie kołysze się emaliowana tabliczka z napisem „Dom starców".

Na samym środku podwórka, tuż pod obdrapaną z tynku kapliczką, leży jeden jedyny trup. Może i nie zwróciłbym nań uwagi, gdyby nie nasunięta przez kogoś na jego twarz stara kolejarska czapka, z dużym i pękniętym na pół niezdarnie zeszytym daszkiem. Leży na plecach, z szeroko rozrzuconymi nogami, a białą brodę zlepia z jednej strony ciemna skorupa zakrzepłej krwi.

Nie doczekał naszego powrotu.

O czternastej melduje się u mnie łącznik od pułkownika Wachnowskiego; mam się tam stawić na odprawę dowódców batalionów. Dociągam pas, jak tylko mogę,

doprowadzam do porządku swój powstańczy ekwipunek i idę.

W sztabie zastaję dowódców baonów „Czata", „Kiliński", „Wigry" i innych. Już w pierwszej sekundzie spostrzegam, że są mocno przygnębieni nocnym niepowodzeniem.

Pułkownik Wachnowski oświadcza nam, że wojsko będzie się wycofywało kanałami do Śródmieścia. Do czasu, póki nie ewakuuje się rannych i nie wycofają się inne jednostki bojowe, pięć batalionów zostanie jako ochrona Starówki.

— Panowie, są to bataliony... — pułkownik zrobił małą pauzę — „Czata", „Kiliński", „Dzik" i „Czwartacy". Bataliony te wycofają się ostatnie.

Pułkownik Wachnowski mówił głosem pewnym jak zwykle, ale zauważyłem, że jego dłonie drżą.

Przyszło mi na myśl pytanie: dlaczego nie powtarzamy natarcia? Przecież nauczeni wczorajszym, smutnym doświadczeniem, potrafilibyśmy chyba ustrzec się nowych błędów... Dlaczego Wachnowski, który jeszcze wczoraj twierdził stanowczo, że wycofanie kanałami wszystkich jednostek jest technicznie niewykonalne, dziś decyduje się ewakuować wojsko kanałem? Dlaczego wreszcie nie trzyma się jednej koncepcji i wydaje sprzeczne rozkazy?

Przyjrzałem mu się uważniej. Jego przekrwione oczy biegały niespokojnie po twarzach oficerów; palce bębniły nerwowo po blacie stołu. I wtedy nagła myśl, jak błyskawica, rozświetliła mi umysł, dając jednocześnie odpowiedź na natarczywe pytanie.

Pułkownik Wachnowski stracił głowę! Skoro zawiodła widać jego ostatnia koncepcja przebijania się górą, nie starczy mu odwagi na powtarzanie jeszcze raz tego eksperymentu i czepia się, jak tonący brzytwy, pomysłu ewakuacji wojska kanałami. A przecież wczoraj sam powiedział, że uważa to za niemożliwe.

Daleko gdzieś zazgrzytała „krowa": przeraźliwie i głośno, jakby ktoś przesuwał ciężki mebel nad naszymi głowami. Raz, drugi, trzeci, czwarty... Pułkownik Wachnowski przerwał; nie wiem, czy zabrakło mu słów, czy też nasłuchiwał wybuchów. W każdym razie, kiedy szósty i ostatni z nich wstrząsnął murami sztabu, ocknął się i rozejrzał po twarzach oficerów. Zauważyłem, że odzyskuje powoli spokój.

— Panowie — zwrócił się do nas — na tym uważam odprawę za zakończoną... A pan, poruczniku „Gustaw" — rzekł niespodziewanie do mnie swoim bezbarwnym i monotonnym głosem — może się czuć zaszczycony, że wybrałem pański batalion do wykonania tak chlubnego i odpowiedzialnego zadania. Muszę jednak przyznać, że uczyniłem to dopiero po przekonaniu się o wysokim poziomie moralnym i bojowym Czwartaków. Życzę powodzenia.

Zadarł głowę i wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnąłem ją i skłoniłem się, nie tak szybko jednak, aby nie dostrzec wyszczerzonych w uśmiechu zębów majora „Barego", dowódcy żandarmerii AK na Starówce, z którym od pewnego czasu nienawidziliśmy się serdecznie.

Było już późne sierpniowe popołudnie.

Wracając natknąłem się na długi korowód powstańców, potem na drugi i trzeci.. Ciągnęli noga za nogą, otępieli i milczący, czekający na swoją kolej wejścia do włazu kanału przy zbiegu ulic Miodowej i Długiej.

Podszedłem do pierwszego z brzegu, młodzika jeszcze, zapytałem, co to za jednostki.

Obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głowy i żachnął się, jakbym musiał wiedzieć, co oni za jedni.

— Zgrupowanie „Roga", panie poruczniku.

Zgrupowanie „Roga"! Znaczy to, że już wycofują się jednostki bojowe. A więc pułkownik Wachnowski obiema rękami i to niesłychanie szybko chwycił się swojej ostatniej deski ratunku — ewakuacji wojska kanałem.

Słońce schodziło już za poszarpane i dymiące mury Starego Miasta, kiedy wróciłem na swój punkt dowodzenia.

Pomału zaczęło się ściemniać. Nadleciała chyba ostatnia już dziś piątka „Stukasów". Kazałem je ostrzelać z cekaemów długimi seriami świetlną amunicją. Niech wiedzą ci, co są na Żoliborzu i w Śródmieściu, że jeszcze żyjemy i walczymy.

I wtedy, kiedy czwartackie karabiny maszynowe stebnowały sierpniowe niebo świetlistymi paciorkami pocisków, ni stąd ni zowąd, przyszło mi na myśl, że jest to chyba nasz ostatni, jak gdyby pożegnalny salut.

Przypomniało mi się zdanie, które zepewne dzięki Sienkiewiczowi utkwiło mi szczególnie w głowie: M o r i t u r i t e s a l u t a n t*.

---

* Morituri te salutant (łac.) — Ci, którzy mają umrzeć, pozdrawiają ciebie.

LUDZIE Z INNEGO ŚWIATA

30 sierpnia 1944 r.

Do akcji znów wchodzą czołgi. Wisłostradą, ze zgrzytem gąsienic pełznie „Tygrys", węszy na wszystkie strony lufą działa, aż wreszcie zatrzymuje się. Powoli odwraca wieżyczkę w prawo i uniósłszy nieco w górę lufę, zaczyna walić po wschodniej stronie garbarni.

Błysk, zaraz po nim huk — i kawały cegieł, odłamy tynku lecą nam na głowy. Powietrze staje się duszne i gorące; nasiąka zapachem spalonego prochu.

Z okopów zza Wisłostrady odzywają się nieprzyjacielskie cekaemy. Początkowo pojedynczo, jak gdyby nieśmiało, później coraz głośniej i zajadlej. Już nie jeden, nie dwa, ale kilka na raz rwie ciszę sierpniowego ranka, siecze po wszystkich dziurach w murze, po oknach, długimi seriami. Nie można nawet wychylić głowy, aby zlustrować dokładniej przedpole.

Nagle szczekot karabinów maszynowych i grzmot czołgowego działa głuszy przeraźliwy zgrzyt. Znam go aż nadto dobrze: Niemcy „nakręcają szafę".

Oczekuję wybuchów. Sekundy przemieniają się w wieczność. I raptem... Już! Odnoszę nagle wrażenie, że mury garbarni kołyszą się w posadach i walą się mi na głowę. Sześć min, jedna za drugą, uderza w fabrykę. Otwieram szeroko usta. Miny rwą się z ogłuszającym hukiem, wokół robi się ciemno od kurzu i dymu.

Ocieram mokre umorusane czoło, a potem wyglądam krótką chwilę jednak, bo zaraz seria pruje po workach,

sypie mi w twarz piaskiem i okruchami tynku. „Tygrys" ciągle bije z działa, niemieckie karabiny maszynowe wgryzają się w każdą szparę, w każdą szczelinę, która mogłaby posłużyć Czwartakom za strzelnicę.

Jest trzydziesty dzień powstania, a trzeci, jak batalion AL im. „Czwartaków" nie zmieniony przez nikogo broni ulicy Mostowej. Nie zmienia nas nikt, bo i prawdę mówiąc — nie ma już kto. Większość jednostek odmaszerowała kanałami na Śródmieście i Żoliborz. Została tylko garstka, to znaczy grupki AK-owców i my, Czwartacy, pragnący krwią swoją zapisać w historii warszawskiego powstania, że żołnierz Armii Ludowej bronił do ostatniego naboju tej, z góry skazanej na zagładę, bohaterskiej dzielnicy Warszawy.

Trzeci dzień nieustannych walk. Faszyści nie przerywają ognia. Tłuką po garbarni coraz silniej i zacieklej, jakby dziś właśnie postanowili zdusić ostatnie ognisko powstańczego ruchu oporu na Starym Mieście. Rannych nie ma komu opatrzyć, nie ma już wśród nas personelu szpitalnego, dziś rano odprowadził kanałem do Śródmieścia ostatnią grupę rannych Czwartaków. Ci, co zostają ranni teraz, zdani są wyłącznie na pomoc kolegów.

Od kilkunastu godzin nie mamy co włożyć do ust. Brak prowiantu. Kuchnie zostały rozbite bombami „Stukasów", ich personel częściowo zginął, częściowo go ewakuowano.

Czwartackie automaty zioną bez przerwy ogniem. Chłopcy o twarzach pokrytych różowym, ceglanym pyłem, w którym ściekający pot rzeźbi głębokie bruzdy, o gorączkowo błyszczących oczach, tulą się do murów fabryki, z niesłychanym uporem i wściekłością broniąc tego rumowiska domów, tej kupy gruzów, która niedawno jeszcze była Starym Miastem.

Nie mogę doliczyć się rannych, zabitych i zasypanych...

Straszliwy ostrzał prawie że uniemożliwia dotarcie do stanowisk. Po naszej lewej stronie broni się obsadzony przez AK „Pekin", po prawej zaś nienawistny „Czerwony Dom" — przerwany na pół przez Czwartaków ładunkiem zrobionym z niewypałów „szaf" — zasypuje fabrykę lawiną ognia. Z tyłu, za naszymi plecami, płonie Starówka.

31 sierpnia 1944 r.

Ryk czołgowych silników rośnie, staje się coraz głośniejszy. „Tygrysy" wdzierają się już w Mostową. Jesteśmy bezsilni. Nie mamy butelek zapalających. Czołgi zaś suną naprzód i naprzód, podłażą już pod barykadę wzniesioną przez nas przy fabryce.

Klnę w bezsilnej wściekłości, gdy AK-owcy z „Pekinu" zawiadamiają mnie, iż wycofują się z powodu braku amunicji. Niestety, nie mogę im pomóc, ponieważ i Czwartacy gonią resztkami. Amunicja! Właśnie, gdybyśmy mieli jej pod dostatkiem, gdyby nie brakowało pocisków do naszego „Piata" i butelek z benzyną. Ba, gdyby...

Faszystowskie czołgi, drwiąc z naszej bezsilności, podłażą bliżej i bliżej. Spocone czwartackie dłonie coraz silniej, aż do bólu, zaciskają się na rozgrzanej stali automatów. Jestem bezradny, pociskiem „Schmeissera" nie przebiję pancerza czołgu.

O czternastej otrzymuję wreszcie rozkaz opuszczenia fabryki. Mam wycofać się z niej z całym batalionem, a raczej z garścią ludzi, która z niego pozostała, i bronić po kolei domów ulicy Mostowej aż do Freta. Wycofujemy się i zajmujemy stanowiska w szkole. Czwartacy skuleni przebiegają odkrytą przestrzeń, przypadają znów do ziemi i odgryzają się, jak tylko mogą.

Czołgi napierają coraz silniej, są tuż... Widzę, że nie jesteśmy w stanie utrzymać dłużej szkoły. Rozkazuję

więc obsadzić dom po obu stronach Mostowej. Czołgi tymczasem „prasują", roznoszą barykadę przy fabryce i podciągają się coraz wyżej. Ich gąsienice zgrzytają już po bruku Mostowej, stalowe cielska „Tygrysów" kolebią się na boki, a u wylotu ich luf raz po raz wykwita niebieskawy płomień. Za czołgami posuwa się piechota.

Przypadłem do okiennego parapetu i biję ze „Schmeissera" po szarych skulonych sylwetkach SS-manów. Zamek pistoletu lata jak wściekły, na podłogę z metalicznym brzękiem sypią się łuski. Zmieniam pośpiesznie magazynek. Ciężko jest bronić zupełnie nie umocnionych domów, nie mając amunicji ani granatów, gdy ludzie dosłownie przewracają się z wyczerpania.

Mijają wolno minuty nierównego boju. Pod silnym naciskiem faszystowskiej piechoty wspartej czołgami oddajemy dom po domu.

„Kajtek" ładuje swojego „Piata" ostatnim nabojem. Nie zwraca na nic uwagi, opanowany jedną tylko myślą: nie chybić! Udaje mu się... „Tygrys" zawraca nagle w miejscu, szarpie gąsienicami zwały gruzu i odrzuca je daleko za siebie. Płonie.

„Kajtek" wrzeszczy coś, lecz nikt nie zwraca nań uwagi. Nie starcza czasu. „Wacek", któremu rykoszet wybił prawe oko, z głową owiązaną jakąś szmatą, strzela z karabinu celując ocalałym, lewym. Wszyscy ranni walczą. Nikt nie schodzi z pierwszej linii, a zresztą tu drugiej linii nie ma. Cała Starówka to nic innego jak pierwsza linia zawczasu skazana na zagładę.

1 września 1944 r.

O godzinie osiemnastej zostajemy zepchnięci do ulicy Freta. Cała Mostowa z wyjątkiem dwóch domów, które znajdują się w naszych rękach, zdobyta jest przez Niemców.

Otrzymuję rozkaz zdania pozycji porucznikowi „Zgrzytowi“ z baonu AK „Dzik“, który pod dowództwem „Nałęcza“ bronił „Pekinu“, a który jednocześnie ze mną został zepchnięty do ulicy Freta. Ja zaś mam obsadzić barykadę na rogu Freta i Świętojerskiej, gdzie hitlerowcy wdzierają się z trzech stron: przez Freta od Nowego Miasta, Świętojerską od strony Hal i przez ruiny od strony wschodniej.

Nad Starówką dopala się czerwony od łun i zachodzącego słońca wrześniowy wieczór. Zajmujemy stanowiska na barykadach; są mocno nadgryzione hitlerowskimi minami i pociskami dział czołgów.

Wzywam do siebie łącznika. Piszę na kawałku kartki do porucznika „Zgrzyta“:

> Uprzedźcie mnie, jak będziecie się wycofywali na barykadę „Freta—Długa". Podpisano: „Gustaw“-por.

Wysyłam łącznika, a sam kładę się obok chłopców na barykadzie. Jeszcze raz oceniam sytuację... Jest gorzej niż paskudna. Niemcy ujmują nas w kleszcze, na wydostanie się z których jest coraz mniej szans. Jeśli „Zgrzyt“ wycofując się na barykadę „Długa — Freta“ nie uprzedziłby mnie zawczasu, zostalibyśmy odcięci.

Barykada nie zasypia, czwartackie karabiny maszynowe usiłują jeszcze trzymać faszystów w ryzach. Nasze automaty biją seriami — coraz rzadszymi i krótszymi. Brak amunicji coraz bardziej daje się we znaki.

Porucznik AK „Nałęcz“ — dowódca nie istniejącej już prawie kompanii, ranny w głowę — przebiega przez Freta w kierunku włazu na Długiej. Bandaż na jego głowie, lepki i nasiąkły krwią, osuwa się za każdym skokiem na oczy, odwija. „Nałęcz“ nie przystaje nawet, aby go poprawić...

Hitlerowcy prowadzą bardzo silne natarcie. „Tygrysy“ nie zdołały jeszcze sforsować rowu przeciwczołgowego

napełnionego wodą z przerwanych rur kanalizacyjnych, ale od Nowego Miasta ostrzeliwują nas czołgi innej jednostki nieprzyjaciela, a ze Świętojerskiej coraz energiczniej naciera piechota.

Przebiegam od stanowiska do stanowiska. Przebiegam i klnę, gdyż widzę, że chłopcy ledwo trzymają się na nogach ze zmęczenia.

Nadchodzi zmrok. Wokół nas płoną staromiejskie kamienice. Zdaję sobie sprawę, że to są ostatnie godziny naszego życia, jak ostatnie są chwile dogorywającej Starówki.

O godzinie dwudziestej drugiej porucznik „Zgrzyt“ zawiadamia mnie, że za dziesięć minut opuści swoją pozycję.

Zbieram pozostałych przy życiu Czwartaków i wycofuję się z nimi w kierunku Długiej. Po drodze spotykam ludzi „Zgrzyta“. Podobnie jak my gonią resztkami sił. W poszarpanych, zwiadowczych „panterkach“, zarośnięci, brudni i kontuzjowani, słaniają się na nogach. To już nie wojsko, lecz grupa osaczonych ludzi pragnących wyrwać się z okrążenia albo drogo sprzedać swoje życie.

Razem ze „Zgrzytem“ obsadzamy barykadę „Freta — Długą“. A więc cała Mostowa już jest w rękach Niemców.

2 września 1944 r.

O godzinie pierwszej w nocy otrzymuję wiadomość, że dowództwo AK odcinek „Śródmieście—Północ“ opuściło Starówkę, a reszta oddziałów wycofała się kanałami.

W pierwszej chwili nie mogę w to uwierzyć. Jak to? A więc to już koniec? Tak miałoby wyglądać zakończenie walk na Starym Mieście, które przez trzydzieści trzy dni nie wypuszczało broni z ręki?

Nie mogę jeszcze uwierzyć, że wszystko to poszło na marne. Wysyłam patrole w lewo. Faktycznie, nasi sąsiedzi zniknęli bez śladu. Wysyłam w prawo, bo przecież łudzę się jeszcze... Ten sam rezultat. Więc jednak nadeszła chwila, której obawiałem się od dłuższego czasu — koniec Starówki. Co robić?

Z porucznikiem „Zgrzytem“ decydujemy dotrzeć do włazu na rogu Miodowej i Długiej i przedostać się kanałem do Śródmieścia. Śródmieście przecież walczy.

Zbieramy ludzi. Wzdłuż Długiej jest silny ostrzał z cekaemów od strony Mostowej i od kinematografu. Mimo to ruszamy biegiem. Biegnę po górach gruzu, potykam się o poplątane, pogięte wybuchami bomb żelazne belki, przełażę przez rozbite barykady. W wąskim przejściu jednej z nich zawadzam nogą o jakieś worki — nie worki. Zwalam się na nie i dopiero teraz spostrzegam, że to, co wziąłem za worek z piaskiem, jest po prostu — trupem. Głowa w powstańczym hełmie wciśnięta jest nienaturalnie głęboko w ramiona, zęby obnażone aż do dziąseł zdają się sięgać mojej ręki.

Podrywam się na nogi. Aby tylko do włazu! Za sobą słyszę szybkie, urywane oddechy Czwartaków, chrzęst broni i głośne, dosadne przekleństwa. „Cholera jasna! Aby do włazu!“

Znajdujemy się już blisko wejścia do kanału, kiedy dostajemy się nagle we flankowy ostrzał cekaemów z Sądów na Placu Krasińskich. Pociski szyją powietrze tuż nad naszymi głowami, cmokają o nasyp jakiegoś okopu. Biegnący niedaleko mnie „Wojtek“ potyka się raptem i wali na ziemię. Łapie się za nogę i ściska ją oburącz. Chrypi nieswoim głosem:

— Dostałem, psiakrew!

Podrywają go z ziemi ręce kolegów. Chce biec dalej razem z nimi, lecz z jego zaciśniętego gardła dobywa się przeciągły jęk. „Wojtek“ zatacza się i zwisa na rękach Czwartaków. Wloką go za sobą nie zważając, że przestrzelona noga zawadza o wystające, tramwajowe szyny. „Wojtek“ nie jęczy już, lecz krzyczy...

Faszystowskie cekaemy tłuką jak wściekłe. Jeden z AK-owców rozpościera ręce i osuwa się cicho, bez jęku, tuż pod nogi „Zgrzyta“. Porucznik rzuca okiem na jego ściągniętą twarz, na oczy zachodzące mgłą śmierci, po czym pochyla się nad nim niezdecydowany.

Nic tamtemu nie pomoże. Chwytam „Zgrzyta“ za ramię i wołam:

— Naprzód!

I znów kupa gruzów, jakaś wnęka zburzonej bramy, i znów przejmujący gwizd pocisków. Serce tłucze mi o żebra, płuca zdają się pękać od ogromnego wysiłku. I kiedy wydaje mi się, że już padnę, dostrzegam wreszcie upragniony, zionący pustką otwór włazu. Wokół trupy — porozrzucane, jedne na drugich.

— Naprzód! Szybciej... szybciej... — rzężę, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Otwór włazu jest wąski, zbyt wąski, jak na człowieka, pod którym nogi uginają się ze zmęczenia, a głowa chwieje się na boki i opada ku dołowi. Pierwsi znikają w nim ludzie „Zgrzyta“, później Czwartacy. Spuszczają się w mroczną otchłań, jeden za drugim, dysząc ciężko i chrapliwie.

Rzucam ostatnie spojrzenie na płonącą, dogorywającą Starówkę, na zwały trupów przy włazie. A więc tak wygląda koniec. Płoną całe ulice, do których dostępu przez przeszło miesiąc bronił faszystom żołnierz AK i AL. Zostawiliśmy je teraz na pastwę płomieni, które szaleją i szaleć jeszcze będą przez wiele długich dni.

Otwór włazu zieje wilgocią i chłodem. Wszyscy już weszli. Zabezpieczam „Schmeissera“, wieszam go sobie na szyi i spuszczam nogi do włazu. Stopy natrafiają na klamry, ślizgają się po nich. Zaczynam schodzić w dół — wolno, coraz niżej. W górze, nade mną widzę skrawek nieba różowego od blasku pożarów.

Ogarnia mnie ciemność, gęsta, zdawać by się mogło — namacalna. Puszczam się ostatniej klamry i jestem w kanale. Stoję zanurzony do połowy łydek w gęstej mazi, która chlupocze przy najmniejszym ruchu. Czwartacy tkwią w miejscu stłoczeni jeden przy drugim...

Puszczam po linii pytanie:

— Do porucznika „Zgrzyta"... Czy jest przewodnik?

Czekam minutę, dwie, aż przychodzi odpowiedź: nie! Nie namyślam się, bo i po co? Przecież na górę nie wrócimy. Pozostaje jedno tylko wyjście: iść przed siebie, zdając się na przysłowiowy łut szczęścia. Chyba posiada go niejeden z nas, skoro cało wyszliśmy ze staromiejskiego piekła. Kładę rękę na ramieniu stojącego tuż przede mną Czwartaka i mówię szeptem:

— Naprzód, chłopcy.

Pod nogami chlupocze maź, oblewa łydki i przylepia do kolan spodnie. Idziemy kanałem, nie wiedząc, dokąd nas zaprowadzi. Jak na razie jest wysoki, przestronny. I tylko gęsta, smrodliwa maź bulgocze pod butami ludzi, opryskuje ręce i twarz, kiedy któryś potknie się lub pośliźnie.

Otacza nas ciemność i cisza mącona jedynie chlupotem oraz przyśpieszonymi, ciężkimi oddechami chłopców. I nagle w ciszy tej, jak w grobowcu, rozlega się głośny syk, a zaraz po nim dosadne przekleństwo. Rzucone półgłosem, huczy w kanale jak grzmot:

— ...twoja mać!

Długi szereg maszerujących ludzi zastyga w miejscu. Przepycham się do przodu. „Co jest?" Okazuje się, że wysoki kanał kończy się, jak nożem uciął, a któryś z ludzi „Zgrzyta" maszerujący na przedzie wyrżnął głową o mur. Przed nami — niski, mający chyba z metr wysokości chodnik.

W świetle zapałki odcyfrowuję godzinę. Pod ziemią jesteśmy już blisko sześćdziesiąt minut. Prawie godzinę temu opuściliśmy dogorywającą Starówkę. Gdzie jesteśmy teraz? Nikt z nas nie potrafi na to pytanie odpowiedzieć.

Mówię „Zgrzytowi" do ucha:

— Nie ma co... Idziemy.

Usuwam się na bok i przepuszczam obok siebie chłopców. Sapiąc i postękując włażą do niskiego chodnika. Przez chwilę też brzęczy głośno czyjeś oporządzenie, lecz zaraz gasi je wściekły, ostrzegawczy szept:

— Cichooo!

Pochylam się i wchodzę w niski kanał. Idę zgięty wpół, „Schmeisser" dynda mi na szyi, obciąga głowę. Dobrze, że woda, a właściwie ta gęsta maź, sięga tu zaledwie do kostek. Powietrze jest coraz cięższe; maź paruje, uderza w nozdrza smrodliwym, duszącym zapachem.

Zatrzymuję się znowu na jakieś dalekie dudnienie. Czekamy chwilę — dudnienie cichnie stopniowo, a w kanale zalega na powrót cisza, w której tylko serca ludzi walą szybkim, przyśpieszonym rytmem.

Patrzę po raz drugi na zegarek... Dwie i pół godziny. Jak długo jeszcze zmordowani, wyczerpani do cna chłopcy, będą zmuszeni zdążać przed siebie, nie mając w dodatku pewności, czy idą we właściwym kierunku. Czy wreszcie nielepiej było zostać na górze, tam — na Starówce i do końca, do ostatniego naboju, z honorem...

Odganiam od siebie tę myśl. Przecież gdyby chodziło tylko o mnie, to co innego, ale tu idzie o resztę batalionu, o dziesiątki ludzi prawie cudem wyrwanych z piekła.

Maszerujący przede mną Czwartak potyka się — tracę oparcie. Nie poznaję nawet, który to... Zuję między zębami przekleństwo i dźwigam go za pasek. Zatacza się. Odpoczywamy chwilę oparci o oślizłe, cuchnące ściany chodnika.

I znów pada rozkaz:

— Naprzód!

„Naprzód!" Jak iść naprzód, kiedy nogi odmawiają posłuszeństwa, plecy zdają się pękać od ciągłego pochylania, a przed oczyma bez przerwy wirują świetliste kręgi. Pokonuję zmęczenie resztką silnej woli. „Naprzód!"

Maszerujemy chyba przeszło trzy godziny, gdy w miejscu osadza nas nagły okrzyk:

— Stój! Kto idzie?!

Ciemności przecinają światełka latarek — to AK-owski patrol. Oddycham z ulgą. AK-owcy objaśniają nas, że jesteśmy tylko dwadzieścia minut od włazu.

A więc trafiliśmy! Chłopcy jakby odzyskali siły. Ten i ów chrząka, pociąga nosem. Trafiliśmy! Nie zważając na straszliwe, zwalające z nóg zmęczenie przyśpieszamy tempo marszu. Idący przede mną żołnierz już nie zatacza się, klnie tylko od czasu do czasu ochrypłym głosem, dosadnie, po warszawsku.

Dwadzieścia minut dłuży się w nieskończoność. Wreszcie ludzie zatrzymują się... Jesteśmy pod włazem! Teraz trzeba czekać, aż wyjdą ci, co są na przodzie. Zegarek przyłożony do ucha tyka jednostajnie, miarowo... Nareszcie po jakimś tam czasie przychodzi kolej i na mnie.

Zaciskam zęby i z wysiłkiem wspinam się po klamrach. Przychodzi odprężenie... Jestem zmęczony — potwornie, nieludzko. Wydaje mi się, że na szyi wisi nie „Schmeisser", a stupudowy ciężar. Niemniej ciężkie wydają się „saperki", których cholewy pełne są brudnej, cuchnącej mazi.

Klamry są śliskie; boję się, że puszczę się i grzmotnę z powrotem w dół. Czepiam się ich kurczowo, spoglądam w górę... Nie chce mi się wprost wierzyć — nade mną krążek jasnego, w porównaniu z ciemnościami panującymi w kanale, nieba. Wydostaję się na brzeg włazu. Opuszczają mnie siły. Wychylony do połowy patrzę

na ten „raj", do którego tak często ostatnimi czasy wzdychaliśmy na Starówce.

Ale i tu właz obłożony jest workami z piaskiem. Słyszę czyjś ponaglający szept:

— Prędzej, bo ostrzał!

Chcę prędzej, ale naprawdę nie jestem w stanie. Automat zawadza lufą o krawędź włazu, nie mogę podciągnąć się do góry. Dopiero czyjeś silne ręce chwytają mnie pod ramiona i windują na powierzchnię.

Wszyscy moi chłopcy są już na wierzchu. Stoją ociekając brudną wodą i... piją. Jakaś kobieta z opaską, na której widnieją litery „P.Ż." (dopiero później dowiedziałem się, że oznaczają „Pomoc Żołnierza"), podaje mi kubek. Wlewam od razu całą jego zawartość w nie zwilżane od trzech dni gardło. Woda jest zimna, cudownie zimna... Dopiero po piątym jej kubku zapytuję zgrupowanych wokół nas mężczyzn:

— Nie wiecie, panowie, gdzie kwaterują jednostki AL?

— Na Czackiego, panie poruczniku — odpowiada jakiś cywil w jasnej, letniej marynarce.

Ba, na Czackiego! Nic mi to nie mówi, bo nie orientuję się, w jakim punkcie dzielnicy znajduje się właz, który dopiero co opuściliśmy. Dopytuję się więc:

— A gdzie jesteśmy?

— Przecież że na Wareckiej! — odpowiada mój rozmówca, jak gdyby zaskoczony.

— Aha... A jak dojść na Czackiego — nie przestaję, bo nauczony krążeniem po zaułkach Starówki, boję się zabłądzić lub wpakować niepotrzebnie pod ostrzał nieprzyjacielskich kaemów.

— Coś pan, panie poruczniku! Normalnie...

Okazuje się, że po Śródmieściu chodzi się jeszcze — jak objaśnił mnie cywil w jasnej marynarce — n o r m a l n i e. Gdzieniegdzie tylko wzdłuż ulic jest

ostrzał, ale w takich miejscach porozwieszano gęsto tabliczki ostrzegające przechodniów.

Żegnam się ze „Zgrzytem" oraz jego ludźmi i ruszamy w kierunku Czackiego. Po drodze uświadamiam sobie raz jeszcze, że na Starym Mieście już wkrótce będą Niemcy, że całomiesięczny wysiłek, wszyscy polegli i ranni — wszystko to na nic, że ten kawałek ziemi, któregośmy bronili z takim nakładem sił i ofiar — został opanowany przez Niemców. Na którą dzielnicę przyjdzie teraz kolej?

Idę ulicami Śródmieścia i nie mogę pojąć, jak życie może się tu toczyć normalnym, zwykłym trybem... Szyby w oknach, czyste jezdnie, chodniki nie przysypane gruzem, przynajmniej na tych ulicach, którymi zdążamy.

— Rany boskie! — wzdycha któryś z chłopców. — Tu spokój, a my tam... Rany boskie!

Wchodzimy w Czackiego. Rzeczywiście kwaterują tu oddziały Armii Ludowej, ale wartownik zagradza nam drogę. Obserwuje z wyraźnym zdumieniem nasz wygląd zewnętrzny i powtarza z uporem:

— Nie mogę, obywatelu poruczniku, nie mogę.

W głowie mi się kołuje, powieki przymyka potworne zmęczenie. Tracę cierpliwość:

— Cholera jasna! Wołajcie oficera służbowego.

Wychodzi oficer w czystym mundurze, świeży i wygolony. Proszę go, by wezwał podpułkownika „Sęka" — dowódcę Armii Ludowej w Śródmieściu. Po chwili meldują „Sękowi" nasze przybycie, a po dziesięciu minutach już leżymy na siennikach. Wypoczywamy. Po raz pierwszy od wielu, wielu dni. Zasypiając zerkam jeszcze na zegarek. Jest godzina piąta trzydzieści rano.

Piąta trzydzieści, trzeciego września.

3 września 1944 r.

Budzę się dopiero o czwartej po południu. Spałem więc bite dziesięć godzin. Razem z sierżantem „Staśkiem" wybieramy się do rodziców kapitana „Konrada", aby powiadomić ich, że on żyje i przedostał się na Żolibórz.

Jest ciepłe, wrześniowe popołudnie. Idziemy ludnymi ulicami, a z każdym krokiem ogarnia nas coraz to większe zdumienie, że w Śródmieściu panuje jeszcze taki spokój. Trącam łokciem „Staśka" i wzrokiem pokazuję mu nie poniszczone zieleńce, kobiety odziane według ostatniego krzyku okupacyjnej mody. Gdzieniegdzie tylko dymią dogasające zgliszcza i różowieje jakiś rozbity dom.

Przechodnie przyglądają się nam uważnie i badawczo. Czuję się jak na cenzurowanym. Jak tylko mogę, poprawiam i obciągam swój wyszarzały, zbrukany mundur. Wstyd mi się robi, ale tylko przez moment, bo zaraz też słyszę za plecami głośny szept:

— To ze Starówki!

Dochodzimy wreszcie do domu „Konrada". Chwała Bogu — stoi. Wchodzę w znajomą bramę, wspinam się po schodach, które nie raz i nie dwa przemierzałem w czasie okupacji.

Pukam do drzwi — cisza. Pukam jeszcze raz... Wreszcie słyszę czyjeś kroki, a potem w progu staje matka „Konrada". Gdy wchodzimy do pokoju, a ja mówię jej, że „Konrad" żyje — patrzy na nasze wychudłe twarze szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

— Boże! — załamuje ręce. — Jak wy wyglądacie! Jakbyście wrócili z tamtego świata...

W pierwszej chwili nie umiem znaleźć odpowiedzi. Potem jednak, błądząc wokół wzrokiem, dostrzegam na niebie łuny płonącej Starówki.

I wtedy odpowiedź sama przychodzi mi na usta:

— Tak, proszę pani... Myśmy wrócili z tamtego świata.

„TU NIEMCY SĄ OSWOJENI..."

6 września 1944 r.

Po czterech dniach odpoczynku z rozkazu wyższego dowództwa przenoszą naszą kwaterę z Banku Francuskiego przy ulicy Czackiego na Wspólną 7, a sam melduję się na odprawę dowódców batalionów u dowódcy zgrupowania AK, majora „Sarny".

Jest godzina dwunasta w południe. „Sarna" robi na mnie niezwykle dodatnie wrażenie. Widać, że jest to człowiek rzeczowy, bojowy oficer, znający się na rzemiośle wojskowym (później przekonałem się, że mój sąd był trafny). U niego też na odprawie dowódców batalionów poznaję oficerów, z których jednostkami mamy wspólnie walczyć.

Godzina czternasta. Wymaszerowuję razem z chłopcami z kwatery na Wspólnej i ruszam na Nowogrodzką. Przypomina się nam Starówka — marsz jest uciążliwy. Przedostajemy się piwnicami domów wzdłuż Nowogrodzkiej; górą nie można przejść z powodu silnego ostrzału karabinów maszynowych. Wreszcie, po piętnastu minutach obijania się po piwnicach, jesteśmy na miejscu.

Po rozlokowaniu chłopców schodzę do piwnicy, gdzie mieści się punkt dowodzenia baonu „Skiby". Wchodzę i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zastaję stół zastawiony jak do uczty. Jest tu wszystkiego po trochu, zacząwszy od pudełek z konserwami, a skończywszy na kilku

butelkach wódki (jak się później dowiedziałem, pochodziły one ze sklepu w Alejach Jerozolimskich, w którym ścianę rozbiły pociski działek czołgów).

I w tej samej chwili zamiast zadowolenia wzięli mnie diabli. Bo przecież w czasie czterech dni odpoczynku słyszałem coś niecoś o zachowaniu się wojska w Śródmieściu i na Powiślu. „A teraz to... psiakrew!" Podczas gdy inne dzielnice walczyły, pławiąc się we krwi, w Śródmieściu i na Powiślu panował całkowity spokój. Mało tego. Skoro tylko Niemcy po opanowaniu Starego Miasta przegrupowali swe siły i uderzyli na Powiśle, powstał tam niesamowity bałagan. W czym tkwiło źródło rozgardiaszu? Właśnie w bezczynności i podobnych libacjach. Młodzi chłopcy po miesięcznych pijatykach dali się opanować panice i uciekali z zagrożonego terenu. A przecież gdyby tych samych chłopców z Powiśla los rzucił miesiąc temu na Starówkę — walczyliby tam do ostatniego naboju. Tu zaś ratowali się ucieczką, przechodząc do Śródmieścia nie zwartymi oddziałami, lecz tabunami, niby bezwolne stada wystraszonych owiec. Czmychali zostawiając nad Wisłą tych nielicznych, którzy od ucieczki woleli walkę w osamotnieniu, i te grupy, które znacznie wcześniej odcięli od Śródmieścia faszyści.

Podporucznik „Wilk" zauważył widać moje wahania, ponieważ poderwał się od stołu, zapraszając doń i robiąc mi niemal honorowe miejsce. Rad nierad usiadłem i prawie zmuszony przez resztę oficerów wychyliłem pierwszy toast... Zakrztusiłem się; wódka była mocna, wysokoprocentowa. „Wilk" rzucił się napełniać znów szklanki.

Zapadł już zmrok, kiedy obiad dobiegł końca. Wstałem od stołu z lekkim szmerkiem w głowie i zatoczyłem się. Zaniepokojony tym, spojrzałem pytająco na porucznika „Wilka". Ten wydął policzki i machnął lekceważąco ręką:

— Tu, u nas spokój. Niemcy są zupełnie oswojeni. Tak, panie poruczniku... W nocy niepotrzebnego hałasu nie robią i może pan, panie poruczniku, spokojnie iść spać.

Zły na nich, na siebie i świat cały, ruszyłem — starając się iść prosto — w kierunku mojej kwatery. Tam, nie rozbierając się i nie wypuszczając z rąk automatu, runąłem jak kłoda na tapczan i z miejsca zasnąłem.

7 września 1944 r.

Nawiedziły mnie jakieś fantastyczne sny, aż wreszcie zobaczyłem jak na jawie twarz pułkownika „Ryszarda", który zginął na Starym Mieście pod gruzami domu Freta 16. Byliśmy z „Ryszardem" na Starówce, a rozrywające się wokół nas pociski artyleryjskie uniemożliwiły nam jakiekolwiek porozumienie się. I nagle „Ryszard" ni stąd ni zowąd złapał mnie za nogę i zaczął szarpać coraz silniej, natarczywiej.

Otwieram oczy. Jestem zlany zimnym potem. W mroku dostrzegam pochylonego nade mną sierżanta „Staśka" i chłopca ściągającego mnie za nogi z tapczanu.

„Stasiek" targa mnie za ramię, niemal krzyczy.

— „Gustaw", wstawaj!

Nie mogę skupić myśli. Nie pojmuję jeszcze, dlaczego mam wstawać, skoro chce mi się spać, a głowa sama opada na poduszkę.

Chłopczyna, który ciągnie mnie za nogę, powtarza w kółko:

— Obywatelu poruczniku, obywatelu poruczniku...

Ziewam i bełgoczę niewyraźnie:

— Co jest, do nagłej cholery?

— „Gustaw", Niemcy nacierają, a tu wszyscy oficerowie pijani jak bele...

Biedny „Stasiek". Nie domyśla się, że i mnie niewiele brakuje do tego stanu. Jednakże jego słowa: „Niemcy nacierają" — działają na mnie jak lodowaty prysznic... Trzeźwieję natychmiast. Zrywam się na równe nogi, ściskam mocniej „Schmeissera".

Dopiero teraz pojmuję, że to, co we śnie brałem za ogień artyleryjski na Starówce, w rzeczywistości jest hukiem rwących się na podwórku min moździerzy i granatników.

Jednocześnie słyszę gwałtowną, wzmagającą się strzelaninę od strony Alei Jerozolimskich.

Tandetna latarka niemieckiej produkcji jak zwykle nie chce się palić. Naciskam włącznik raz za razem i klnę głośno w szewskiej pasji. „Zła krew!" Złośliwość rzeczy martwych!

Na bawienie się zapałkami nie ma czasu. Od Alei niesie się już huraganowy ogień automatów i broni maszynowej. Wplatają się weń głuche wybuchy granatów.

„Stasiek" ponagla mnie gorączkowo:

— „Gustaw", szybciej, jak rany!... Szybciej!

Rzucam latarkę na tapczan i wybiegam na korytarz. Biegnę po ciemku, „na kierunek", nie znanym mi przejściem i dwukrotnie uderzam się boleśnie wpadając na ścianę. Za mną, dysząc ciężko, biegnie „Stasiek"...

Raz jeszcze uderzam przedramieniem o jakiś występ muru, odbijam się od niego i zataczam. Ogarnia mnie wściekłość.

— „Stasiek", gdzie się pętasz? — Przecież on, który kilkakrotnie szedł tędy, zna już chyba drogę. Powinien więc biec pierwszy. — Prowadź, psiakrew!

Nareszcie korytarz się kończy. Poznaję, że jesteśmy w Alejach Jerozolimskich pod numerem dwudziestym dziewiątym. Przede mną wyrastają raptem schody. Przeskakuję po trzy stopnie na raz, wydostaję się na kuchenną klatkę schodową.

Gdzieś w pobliżu ujada wściekle karabin maszynowy. Przebiegam puste pokoje parterowego mieszkania i jestem wreszcie od strony ulicy.

— Obywatelu poruczniku! — wrzeszczy obserwator na mój widok.

Zatrzymuję się przez chwilę na jego punkcie. Melduje mi, że faszyści, usadowieni po drugiej stronie Alei w domu, w którym przed powstaniem mieściła się restauracja „Żywiec", i w trzech sąsiednich budynkach, otrzymują posiłki dowożone pancernymi samochodami i lekkimi wozami zwiadowczymi.

Wytężam wzrok. Rzeczywiście, co trzy — cztery minuty od Dworca Głównego nadjeżdża wóz pancerny i kryje się w bramie „Żywca". Wysadza tam piechotę. Jednocześnie spostrzegam, że Niemcy szykują się do postawienia zasłony dymnej.

Nie ma chwili do stracenia. Trzeba sięgnąć po ludzi, których trzymam w odwodzie. Wołam:

— Goniec!

— Jest, obywatelu poruczniku.

— Pluton miotaczy ognia i obsługa „Piata" do mnie!

Patrzę na fosforyzującą tarczę zagarka — jest godzina druga w nocy.

Czekając na przybycie miotaczy ognia i chłopców z „Piatem", obserwuję przez otwór w murze wjeżdżające i wyjeżdżające z bramy „Żywca" niemieckie wozy pancerne. Wjeżdżają i wyjeżdżają w króciutkich odstępach czasu, co parę minut... „Jaka szkoda, że do „Piata" są już tylko trzy sztuki amunicji" — myślę.

Ze schodów dobiega mnie szybki tupot podkutych butów. Słyszę za sobą:

— Poruczniku, gotowe! — To chłopcy z miotaczami ognia i „Piatem".

Mówię śpiesznie, w gorączce chwili połykając urywki zdań:

— „Piat" na parter!... Miotacze na pierwsze piętro!... Szybko, szkoda każdej sekundy.

Oczekuję niecierpliwie na pierwszy wystrzał naszego „Piata". Czas wlecze się żółwim tempem. „Do „Żywca" podjeżdża akurat opancerzony transporter. W świetle pożaru widzę wyraźnie jego ciemne pudło naznaczone z boku czarnym krzyżem... „Psiakrew, co z tym „Piatem" No... Juuuż!"

„Piat" strzela. Jego pocisk mija wprawdzie auto pancerne, ale za to z wielkim hukiem wyrywa duży kawał muru, tuż obok bramy „Żywca".

Wóz zawraca w miejscu i na pełnym gazie umyka w stronę Dworca. Podskakuje na poszarpanej pociskami jezdni, odgryza się nam z kaemu.

Krew mnie zalewa. „Umknął, sukisyn!"

Wbiegam do pokoju, gdzie leży obsługa „Piata", wtuliła się w wyłom w ścianie, czai się.

— Pudło! — wołam do chłopców i kładę się obok nich.

Czekamy wytężając do bólu oczy. W migotliwym świetle pożarów domy po drugiej stronie Alei Jerozolimskich zdają się drżeć od fundamentów po dachy podziurawione i poprute pociskami czwartackich cekaemów. Czekamy. Upływa minuta, druga, trzecia... Wreszcie — jest. Nadjeżdża lekki wóz pancerny.

— Ten musi być mój — szepcze przez zaciśnięte zęby karabinowy „Piata". Celuje tak długo i uważnie, jak gdyby od tego, czy trafi, miało zależeć jego życie, los nas wszystkich, a nawet los całego powstania.

Samochód pancerny dociera już do bramy „Żywca", jeszcze chwila, a zniknie w niej... Zaciskam dłonie na lufie automatu. Dlaczego „Piat" milczy? Tętno tłucze mi w skroniach szybko i głośno — i dlatego też może nie słyszę wystrzału...

T r a f i ł! Wóz podskakuje do góry, jakby natknął się na jakąś niewidzialną przeszkodę, i skręca gwałtownie

w bok. Zaczyna płonąć. Od przechylonego na bok samochodu odrywają się ciemne sylwetki, skokami pokonują przestrzeń dzielącą je od bramy. Odzywają się znów nasze karabiny maszynowe. Jedna z biegnących postaci zatrzymuje się nagle w miejscu, obraca na pięcie i pada na twarz. Nieruchomieje. Kaemy w czwartackich rękach zanoszą się długimi seriami.

Dochodzi piąta rano. Hitlerowcy, pragnąc widać wziąć odwet za spalony wóz pancerny, usiłują brać nas szturmem. Znienacka. Prą uparcie na nasze stanowisko, siejąc z broni automatycznej. Wspierają ich moździerze i granatniki.

Podchodzą na bliską odległość, tak bliską, że rozróżniam nawet twarze szturmujących SS-manów. Walą na nas, pijani wściekłością i żądzą mordu. Rozchełstane na piersiach mundury, wysoko podwinięte rękawy... Są coraz bliżej.

Odzywa się wreszcie pierwsze piętro domu, który obsadzamy. Idą w ruch „plastykowe" granaty w woreczkach z pociętym żelaziwem. Rzucają je Czwartacy oraz AK-owcy „Skiby" i „Dzika". Granaty rwą się tuż pod nogami nacierających faszystów. Tłuczemy z karabinów i automatów, każda szczelina domu zieje ogniem.

Nieprzyjacielski szturm załamuje się wreszcie i hitlerowcy wycofują się na swoją pozycję wyjściową. Na jezdni Alei Jerozolimskich zostaje kilkunastu zabitych i trzech rannych.

Widzę, jak ci ostatni pełzną z powrotem w stronę „Żywca". Nie pozwalam, by uszli nam. Czwartacy strzałami i okrzykami w języku niemieckim zmuszają ich do przyczołgania się do nas. Początkowo tamci próbują nie słuchać, ale kiedy jeden z naszych karabinów maszynowych zagradza im drogę serią, rezygnują i pełzną pod czwartackie pozycje.

Niemcy, zabarykadowani w „Żywcu" po drugiej stronie ulicy, patrzą na to bezradni.

Godzina szósta rano. Siedzę w piwnicy, a przede mną stoją — podtrzymywani przez Czwartaków — wzięci do niewoli hitlerowcy. Badam ich.

„Kazik" z plutonu sierżanta „Karlika", mówiący biegle po niemiecku, tłumaczy bez zająknienia:

— Mówią, że są z pancernej dywizji SS „Hermann Göring". Dywizja ta walczy w Warszawie dopiero od kilku dni...

Jeńcy nie próbują nawet wykręcać się sianem; o ich przynależności do tych oddziałów świadczą najdobitniej wyhaftowane na rękawach napisy... Dywizja SS „Hermann Göring". Znaczy to, że nieprzyjaciel nie zawahał się rzucić na płonącą Warszawę swoje najlepsze, wypróbowane już niejednokrotnie jednostki.

Sięgam po ołówek i piszę do majora „Sarny":

> 7.09.44 godz. 7.00 M.P.
>
> Szturm na pozycję „Aleje Jerozolimskie 29" odparty. Według uzyskanych wiadomości nieprzyjaciel przed kilkoma dniami wprowadził do walki przeciwko siłom powstańczym pancerną dywizję SS „Hermann Göring"...
>
> Podpisano: „Gustaw"-por.

Nad Śródmieściem wstaje słońce; blade, zaciągnięte dymami płonącej Warszawy.

BÓJ O „ŻYWIEC"

9 września 1944 r.

Z samego rana otrzymuję polecenie, abym zameldował się u dowódcy zgrupowania AK, majora „Sarny". Czyżby zaszło coś nowego a poważnego zarazem? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wraz ze mną mają się tam stawić również porucznicy „Dzik" i „Skiba".

Zaczyna się odprawa. „Sarna" kładzie przed sobą torbę polową, otwiera ją energicznym ruchem i dopiero teraz spostrzega, że nie zajęliśmy jeszcze swoich miejsc. Na jego twarzy pojawia się grymas zniecierpliwienia.

— Proszę siadać, panowie — mówi, po czym sucho i lakonicznie, a jednocześnie rzeczowo zapytuje jednego z dowódców batalionów o sytuację na jego odcinku. Później bierze się za drugiego...

Zerkam ukradkiem na zegarek — już blisko pół godziny. „Sarna" walkuje inne bataliony, a ja siedzę i ziewam. I wtem, gdy przysłaniam dłonią otwarte szeroko usta, major „Sarna" dochodzi do nas.

— Wezwałem panów dlatego — zaczyna — ponieważ uważam, że na waszym odcinku należałoby zmienić system prowadzenia walki.

W pokoju jest duszno mimo rozbitych okien, aż szaro od dymu.

— Jak się orientuję z meldunków panów — ciągnie major — macie panowie przed sobą bardzo przedsiębiorczego, ruchliwego przeciwnika. Wobec takiego nieprzyjaciela prowadzenie obrony biernej może minąć się z celem. Dlaczego, panie poruczniku „Skiba"? Ponieważ ciągle jesteśmy narażeni na zaskoczenie przez jego grupy. Moim zdaniem, należałoby w takiej sytuacji prowadzić obronę aktywną, przeprowadzać wypady na jego teren, uniemożliwiając mu zorganizowanie jakiejkolwiek poważniejszej akcji. Proszę, żeby panowie wypowiedzieli się na ten temat...

Major „Sarna" skończył i patrzy na nas wyczekująco. „Dzik" krzywi się lekko, nieznacznie i trąca kolanem „Skibę". Porucznik „Skiba" zaś rzuca w moim kierunku mocno zakłopotane spojrzenie.

Siedzę na parapecie okna. W duchu przyznaję majorowi słuszność, choć nie bardzo uśmiechają mi się te wypady, chociażby ze względu na nieodłączne straty, jakie każdy z nich pociąga za sobą. Jestem również więcej niż pewien, że największy ciężar w wykonywaniu tych zadań spadnie na Czwartaków. W końcu — kiedy „Dzik" i „Skiba" milczą — decyduję się. „Trudno! Gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą."

— Owszem, można by na przykład popróbować zdobyć „Żywiec" — zaczynam i od razu zapalam się do tej myśli. — To by nam ułatwiło późniejszą obronę całych Alei Jerozolimskich.

Major potakuje w zamyśleniu głową, a później przerywa mi w środku zdania:

— Stop. Szczegóły wykonania i obiekty opracujecie panowie sami. Ja tylko poprzestaję na fakcie, że panowie akceptują moją propozycję. Dziękuję panom.

„Sarna" wstaje od stołu i żegna się z nami. Odprawa zakończona. Na odchodnym major obiecuje mi jeszcze, że przed wieczorem dostarczy nam dwa aparaty telefoniczne z kablem i pięć naboi do „Piata".

Udajemy się z „Dzikiem" i „Skibą" do kwatery tego ostatniego. Tam uzgadniamy, że wypadu dokona pluton z batalionu „Czwartaków".

Popołudnie tego dnia jest duszne. i parne. Po niebie przeciągają bure chmurzyska, zlewają się z rudymi dymami pożarów. Wieczór, jaki nadchodzi, jest niemniej pochmurny i szary.

Godzina osiemnasta. Jestem u siebie, kiedy dwie łączniczki przynoszą aparaty telefoniczne, przewodniki i pięć naboi do „Piata". Major „Sarna" dotrzymał słowa.

Zapada noc, taka jak poprzednio — ciemna, choć oko wykol. Idę do plutonu „Garbatego". Jego ludzie, z kieszeniami wypchanymi granatami, snują się po swojej kwaterze tam i z powrotem. Palą papierosy jednego po drugim.

Zatrzymuję się w progu i pytam:

— No, jak tam, chłopcy?

Odpowiada mi milczenie, a dopiero później któryś rzuca półgłosem:

— W porządku, obywatelu poruczniku.

I znów krążą po izbie, palą papierosy i rozmawiają cicho, szeptem, jakby bali się obudzić kogoś śpiącego. A przecież w izbie nikt nie usnąłby w tym czasie...

Spoglądam na zegarek. Dochodzi druga w nocy. Za pół godziny — jak uzgodniłem z porucznikami „Dzikiem" i „Skibą" — w Aleje Jerozolimskie, ciemne i na pozór spokojne, wyjdzie pluton ludzi. Czy powróci?

Czas znów wlecze się w nieskończoność, wskazówki zegarka zdają się tkwić nieporuszenie w jednym miejscu. Wreszcie ludzie „Garbatego" milkną, przydeptują niedopałki papierosów i cichcem, po kolei opuszczają izbę. Idą ciemnym korytarzem, nie odzywając się ani słowem.

Godzina druga trzydzieści.

Wychodzę razem z nimi. Pod butami skrzypi szkło. Noc jest ciemna; ledwo widzę plecy ostatniego z chłopców, którzy za kilka minut mają szturmować „Żywiec". Pierwsza drużyna plutonu „Garbatego" z miotaczem ognia i aparatem telefonicznym ciągnie za sobą kabel

i wyłazi przez okno na jezdnię Alei Jerozolimskich. Milczkiem, na palcach rusza w kieruku domów stojących po drugiej stronie ulicy. Do moich uszu dolatuje tylko coraz bardziej oddalający się chrzęst szkła głuszony niekiedy przez trzaski wystrzałów z niedalekich barykad.

Pochylam się nad skrzynką aparatu telefonicznego. Słuchawka pali ucho — dlaczego „Garbaty" nie odzywa się? Wreszcie w membranie słyszę trzaski, a zaraz po nich zduszony głos „Garbatego":

— „Gustaw", jesteśmy już koło samej ściany. Halo! Tak, teraz skręcam do „Żywca".

I cisza. Gdzieś niedaleko zaczyna bić karabin maszynowy. Tłucze czas jakiś, milknie równie nagle jak zaczął. Noc jest tak ciemna, że przez kilka sekund błądzę ręką w próżni, a dopiero potem natrafiam na chłodną skrzynkę aparatu.

Po dwóch, trzech minutach w słuchawce słyszę znów głos „Garbatego". Sobaczy pod adresem nieprzyjaciela.

— Sukinsyny! Zabarykadowali bramę od wewnątrz. Psia ich mać! „Gustaw", okienko piwniczne otwarte, ale miotacz ognia tędy nie przejdzie. Za wąskie, cholera! Co robić? Mogę jeszcze włazić przez okno, na parter...

— Więc właź. Tylko szybko!

Słyszę, jak „Garbaty" klnie, a potem w słuchawce nastaje cisza. Zegarek na ręku tyka niezmiennie, liczę każde niemal jego uderzenie. Trzy minuty, cztery, pięć... Już zaczynam się niepokoić; prawie sześć minut nie mam od „Garbatego" żadnej wiadomości. „Może przewodniki nawaliły?" Ale nie, bo nagle „Garbaty" odzywa się:

— „Gustaw", mam tu fajną kwaterę. Nie masz pojęcia... Kanapa, fotele, biurko. Pies z kulawą nogą nie wie, że my tu jesteśmy. Mówię ci... Co? Dobrze, tak jest. Właśnie przeprowadzam dokładne rozpoznanie budynku.

Oddycham swobodniej, a później mówię w słuchawkę:

— W porządku. Posyłam ci pozostałe drużyny.

W Alejach na naszym odcinku panuje na razie spokój i cisza. Zdaję sobie jednak sprawę, że spokój to tylko pozorny, chwilowy, że cisza napięta jest niczym skóra na werblu; każdej sekundy może oddać ze zdwojoną mocą pierwszą serię broni maszynowej i krzyk trafionego człowieka. Pierwszego tej nocy i na tym odcinku. Który to będzie?

Pozostałe drużyny „Garbatego" przeciskają się przez otwory okienne i roztapiają w ciemnościach chmurnej, wrześniowej nocy. Odprowadzam je wzrokiem i pochylam się nad aparatem.

Cisza. Próbując wywołać „Garbatego" mówię w otwór słuchawki:

— Halo, halo! Tu „Gustaw"... Słyszysz mnie?

Milczenie jest jedyną odpowiedzią. Znów mija kilka minut, aż wreszcie „Garbaty" odzywa się:

— „Gustaw", wszystko gra. Pluton mam w komplecie. Słyszysz mnie? Dobrze... Nie odchodź tylko od aparatu.

Nie odchodzę ani na krok. Przekładam słuchawkę do lewej ręki, bo prawa zwilgotniała, wycieram dłoń o spodnie. Czuję, jak między palcami ścieka pot.

Po niedługiej chwili „Garbaty" składa następny meldunek:

— Jesteśmy na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła gmachu. Halo! Jak mnie słyszysz? Dobra... Stoję przy oknie wychodzącym na podwórze. Widzę na podwórzu szwabów, chyba posterunek. Zdecydowałem zniszczyć go granatami.

— Zgoda — odpowiadam i po krótkiej chwili słyszę, jak w „Żywcu" prawie jednocześnie rwie się kilka granatów.

Cisza pryska. „Garbaty" nie mówi już, lecz krzyczy. Poznaję, że jest podniecony.

— „Gustaw", słyszysz? Jeden na miejscu, drugi zdrowo potrącony... Cholera! Wylatują na podwórze. Ale

ich jest, sukinsynów! Chyba z piętnastu albo więcej. Nie mogę po ciemku doliczyć się... Zaraz tu będzie gorąco.

„Garbaty" zapomina się i nie odejmuje mikrofonu od ust. Dlatego też słyszę, jak wydaje rozkazy któremuś z drużynowych:

— Sześć granatów, ale jednocześnie.

Potężny huk targa powietrzem wrześniowej nocy, huczy w opustoszałych Alejach Jerozolimskich.

Przyciskam słuchawkę do ucha i słyszę, że „Garbaty" najzwyczajniej w świecie... rechocze śmiechem. Nic z tego nie rozumiem. Wołam:

— „Garbaty", do jasnej!... „Garbaty"!

Chwila spokoju i znów potężna detonacja trzęsie murami „Żywca". Walą karabiny maszynowe i trzeszczą automaty. Dobiegają do mnie wrzaski Niemców.

— „Garbaty"!

Nareszcie. Poznaję jego głos, szybki, ale spokojny, powiedziałbym nawet — radosny. Zamiast meldować, zapytuje:

— „Gustaw"? Jak tam u ciebie?

Otwieram szeroko oczy. „Zbzikował, czy co, u licha?"

— „Garbaty", jak Boga kocham! Zwariowałeś?

— Skądże! Tylko żałuj, że tu nie jesteś. Mówię ci... poszaleli ze strachu. Zaskoczenie całkowite. Draka...

— „Garbaty"...

Milknie na moment. Potem:

— „Gustaw", w bramie jest cała gromada szwabów — mówi innym już tonem i znacznie szybciej. — Skapowali się, że tu jesteśmy, i biją w nasze okna z automatów.

— Obrzuć ich butelkami — odpowiadam — a my dosuniemy im z „Piata".

„Garbaty" milknie, a ja krzyczę do kaprala „Stefana":

— Wal jednym pociskiem w bramę „Żywca"!

„Piat“ bije. Po sekundzie brama „Żywca“ po raz drugi zostaje rozbita potężnym pociskiem angielskiej broni przeciwpancernej.

W słuchawce rozlega się głos „Garbatego“:

— Walka, jak cholera. Dranie łupią nas coraz bardziej. „Gustaw“, co robić dalej?

„Co robić?“ Swoje już przecież osiągnęliśmy. Krzyczę więc w odpowiedzi:

— Pal, co możesz, i wycofuj się!

— Dobra, tylko...

Głos „Garbatego“ urywa się nagle. Bezskutecznie potrząsam aparatem, dmucham i wrzeszczę w mikrofon. Łączność przerwana. Albo ich telefon, albo linia nawaliła... A tymczasem hitlerowcy z „Żywca“ zaczynają zdrowo siec z cekaemów po naszych stanowiskach. Muszę ich za wszelką cenę uciszyć, bo chłopcy „Garbatego“ nie będą mogli wrócić przez Aleje.

— Cekaem! — krzyczę. — Długie serie po punktach ogniowych „Żywca“!!!

Odpowiada mi cisza. Nasz karabin maszynowy milczy, tylko niemieckie pociski gwiżdżą nad głową, wpadają przez otwory okienne, wdziobują się i wgryzają w wypalone ściany domu.

Obsługa drugiego cekaemu jest dość daleko, może mnie nie słyszeć, ale pierwszy karabin maszynowy jest tuż, o jakieś dziesięć metrów, za tą na wpół rozwaloną ścianą. „Śpią czy co, do jasnej cholery?!“ A tu od każdej sekundy zależy, czy uda się uratować pluton „Garbatego“.

— Do diabła... Cekaem! — wrzeszczę wściekły — połóżcie ogień na „Żywiec“.

Nadsłuchuję grzechotu pierwszej serii. Nadaremnie — pierwszy karabin maszynowy milczy, jak zaklęty.

Tego brakowało. „Pewnie zasnęli“ — przelatuje mi przez głowę. Wołam:

— Łączniczka, do mnie!

Jak spod ziemi wyrasta przede mną „Lala“, dowódca drużyny łączniczek AK, przydzielonej mi przez majora „Sarnę“ (moi wszyscy łącznicy polegli na Starówce). „Lala“ jest młoda i bardzo ładna; ma nie więcej niż osiemnaście lat i długie włosy koloru dojrzałych kasztanów.

— Niech pani skoczy na stanowisko pierwszego cekaemu i powie chłopcom z obsługi, żeby położyli ogień na punkty ogniowe „Żywca“.

„Lala“ uśmiecha się do mnie lekko na znak, że zrozumiała o co mi chodzi, i znika.

Tymczasem w „Żywcu“ rozpętuje się silna, coraz silniejsza strzelanina. Po chwili „Lala“ wraca. Nie uśmiecha się już.

— Poruczniku, chłopcy z obsługi zabici — melduje matowym głosem.

Zrywam się i biegnę w stronę stanowiska pierwszego cekaemu. „Lala“ za mną. Tak. Obsługa nie żyje, skoszona śmiertelną wiązką faszystowskich pocisków.

Nie mówiąc nic, pochylam się nad poległymi chłopcami, próbuję odciągnąć ich ciała na bok. Ciężko jest samemu... I wtedy „Lala“ chwyta za nogi jednego z nich i razem ze mną układa go we wnęce muru. Dzielna dziewczyna.

Kładę się na stanowisku. Taśma jest w cekaemie. Odbezpieczam go i po chwili ciężki karabin maszynowy odzywa się znów równym, miarowym stukotem.

Nie odwracając głowy krzyczę do „Lali“:

— Niech pani wezwie do mnie pluton sierżanta „Staśka“!

Systematycznie biję po tych punktach „Żywca“, w których dostrzegam błyski wystrzałów. W głowie tłucze mi się pytanie: „Co robić? Co robić, żeby uratować pluton „Garbatego“?

Nareszcie przybiega „Stasiek“ z chłopcami. Trzech jego ludzi zostaje jako obsługa cekaemu, reszta otrzy-

muje inne zadanie. Ponieważ Niemcy z domu Aleje Jerozolimskie 31 otworzyli silny ogień na jezdnię ulicy, trzeba odciągnąć ich uwagę.

Rozkazuję „Staśkowi":

— Uderzaj swoim plutonem przez dziury w ścianie odgraniczającej domy Nowogrodzka 22 i 24. Staraj się opanować w domu numer dwadzieścia cztery taki skrawek terenu, który mógłbyś utrzymać aż do mojego odwołania. Zabezpiecz sobie odwrót. Twoje zadanie — narobić wśród Niemców jak najwięcej zamieszania, ściągnąć na siebie jak największe siły nieprzyjaciela. Bezpośrednio przed wycofaniem podpal butelkami, co się da. Wycofywać się tylko na mój rozkaz. Wszystko jasne?

— Jasne!

— „Lala"! — zwracam się do dziewczyny. — Niech pani natychmiast przydzieli sierżantowi dwie łączniczki.

„Stasiek" szykuje swoich chłopców. Wiem, że nie zawiodę się na nim — uczyni wszystko, co tylko będzie leżało w jego mocy. Odmaszerowuje już...

— Przysyłaj tylko meldunki! — dodaję jeszcze.

Mocny uścisk dłoni. Zdaję sobie sprawę, że zadanie, które powierzyłem „Staśkowi", nie należy do łatwych.

Wracam na mój punkt obserwacyjny. W „Żywcu" strzelanina nie ustaje. To dobrze — chłopcy „Garbatego" trzymają się mocno. Zrobię wszystko, żeby zabezpieczyć im odwrót.

Leżę na punkcie obserwacyjnym i czekam na odgłosy walki plutonu „Staśka". Nareszcie. Słyszę wybuchy granatów i gwałtowną strzelaninę od strony Nowogrodzkiej — to uderzają chłopcy Stacha. Teraz, aby tylko hitlerowcy dali się wziąć na lep... Udaje się. Niemcy postępują tak, jak przewidywałem. Wycofują ze swoich pozycji część środków ogniowych i skierowują je na odcinek, który atakuje „Stasiek"; zapewne przypuszczają, że tam jest główny kierunek naszego natarcia. Głupcy! Nie wiedzą, że nam przecież właśnie o to chodzi.

Przez łączniczkę zarządzam alarm kompanii porucznika Poraja. Może Niemcy przeciwuderzą? Wzywam do siebie sierżanta „Wacka". Otrzymuje on identyczne zadanie, co „Stasiek", z tą tylko różnicą, że obiektem uderzenia jego plutonu ma być dom przy Alejach Jerozolimskich numer trzydzieści jeden. Po chwili i na tym odcinku rozpoczyna się zacięty bój.

I wtedy front „Aleje Jerozolimskie 31" milknie. „Garbaty" widać tylko na to czekał, ponieważ po kilku minutach słyszę tupot biegnących ulicą Czwartaków. Nasze cekaemy, rozgrzane prawie do czerwoności i dymiące płonącą oliwą, bez chwili wytchnienia sieką po stanowiskach ogniowych „Żywca", zabezpieczają chłopcom „Garbatego" wycofanie się bez ostrzału faszystów.

Opodal mnie leży kapral „Władek" z plutonu „Staśka" i bijąc z cekaemu bez przerwy coś krzyczy. Początkowo nie zwracam nań uwagi, ale kiedy drze się już na całe gardło, spoglądam w jego stronę, choć bardziej interesują mnie przebiegający jezdnią Czwartacy.

Karabin maszynowy jazgocze w jego rękach, krztusi się długimi seriami. „Władek" nie spuszcza palca ze spustu; po jego twarzy — ściętej złym grymasem — spływa pot. Karabin maszynowy milknie wreszcie na moment i dopiero wtedy słyszę:

— Ja wam zapłacę! Ja wam, dranie, za wszystko zapłacę!

Z okien „Żywca" wydobywają się jęzory ognia, liżą ściany domu coraz wyżej i wyżej.

OSTATNIA SZANSA POWSTANIA

W połowie września 1944 roku jednostki Wojska Polskiego, postawiwszy na dużym odcinku zasłonę dymną, sforsowały Wisłę i przebiwszy się na Czerniaków, nawiązały kontakt z walczącymi tam oddziałami AK i AL. Powodzenie utworzenia w Warszawie przyczółka mostowego bądź też ewakuacji powstańców i ludności cywilnej ze Śródmieścia na Pragę zależało w ogromnej mierze od utrzymania w rękach powstańców połączenia między Czerniakowem a Śródmieściem. Obie te dzielnice stanowiły oddzielne „kotły" otoczone przez hitlerowców i przylegające do siebie na wąskim odcinku: od ulicy Książęcej do pałacyku Pniewskiego włącznie. Nad całym terenem, stanowiącym całkowicie możliwe do utrzymania przejścia, mieli kontrolę dwaj oficerowie AK: porucznik „Janusz" broniący „Pniewskiego" i porucznik „Topór", którego pluton bronił Książęcej 7.

16 września 1944 r.

Około godziny dwunastej porucznik „Janusz" otrzymuje pisemny rozkaz, aby natychmiast opuścił pozycję „Pniewski" i wycofał się z niej do Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych.

Janusz zdumiał się. Opuścić dogodną pozycję bez nacisku ze strony nieprzyjaciela? Pozycję utrzymaną kosztem olbrzymich strat? Ale w rozkazie było słowo „natychmiast". Klnąc, wycofał swój pluton do Instytutu.

W dwie godziny później „Pniewski" został zajęty przez hitlerowców. Pozycję „Książęca 7" zajęli SS-mani.

Połączenie z Czerniakowem zostało przerwane.

Tak przedstawiała się sytuacja w chwili, gdy podpułkownik „Sławbor" wchodził do pomieszczenia sztabu odcinka AL. Oznajmił on, że połączenia z Czerniakowem nie ma, a dowództwo AK nie rozporządza obecnie ani jedną jednostką odwodową. (Było to niezgodne z prawdą, gdyż w domu na rogu ulicy Hożej i Marszałkowskiej znajdowała się w koszarach odwodowa kompania batalionu „Ruczaj", dowodzona przez rotmistrza „Bończę".)

— Zmuszony jestem prosić — oświadczył „Sławbor" — aby AL wydzieliła jednostkę, która odbije pozycję „Książęca 7" oraz „Pniewski". W przeciwnym razie... W przeciwnym razie połączenia z Czerniakowem nie będzie...

Odpowiedź dowódcy odcinka AL brzmiała:

— Jednostka nasza, pułkowniku, połączenie uzyska.

Zarządzam alarm plutonu. Czwartacy wkładają zakurzone buty, zaledwie przed chwilą zdjęte z nóg, doładowywują magazynki „pepesz" i „Schmeisserów". O ściągnięciu z pozycji innych plutonów nie ma nawet mowy: wszystkie uwikłane są w zacięte walki, a chłopcy z nich są niemniej zmęczeni.

Zadanie stawia mi osobiście podpułkownik „Sławbor".

— Zdobędzie pan „Książęcą 7", a następnie „Pniewskiego". Moi ludzie wesprą wasze natarcie ogniem z „Ymki"...

„Dobrze — myślę sobie — a dane o nieprzyjacielu?" Pytam o nie „Sławbora".

— Pozycja ta została zajęta przez n-pla dopiero dzisiaj — wyjaśnia mi podpułkownik. — Danych o nim nie mamy, poruczniku „Gustaw".

Spojrzałem w oczy „Sławbora". Kpi, czy ma mnie za głupca?

Prowadzeni przez łączniczkę docieramy do podstawy wyjściowej — do oranżerii. Na skrzynkach inspektowych leży tu kilkunastu rannych żołnierzy z plutonów, które zaryglowały lukę powstałą w pozycjach powstańczych. Walczyli tu porucznik „Torpeda“ z AK i porucznik „Żarski“ z Korpusu Bezpieczeństwa.

Podchodzę do wyrwy w murze, aby choć okiem rzucić na teren, który wkrótce będziemy szturmowali. Przed nami znajduje się częściowo zrównany z ziemią rów dobiegowy, a dalej wysoki, ponury budynek: Książęca siedem.

Obok mnie staje porucznik „Torpeda“, może mieć około trzydziestu lat, jego twarz pokryta jest kurzem.

— Przeciwuderzacie? — zapytuje.

— Ano tak, przeciwuderzamy — odpowiadam patrząc na jego przygarbioną postać.

— Nie zazdroszczę... Poszedłbym z wami, ale zostało mi tylko sześciu ludzi... U „Żarskiego“ też nie lepiej. Cóż, postaramy się wesprzeć was ogniem. Będziemy bili po górnych oknach; dolne nam przecież zasłonicie.

Ściskam mu rękę, po czym przełażę przez mur. Robi mi się strasznie na duszy — przed nami otwarty teren, na którym mamy nacierać w biały dzień. Nad głowami świsnęły pierwsze pociski, najwidoczniej SS-mani dostrzegli nas.

Nie można było dłużej zwlekać. Rozkazuję:

— Naprzód, chłopcy!

Rozwijamy się w tyralierę i siekąc ogniem z automatów i karabinów ruszamy do szturmu. Nad naszymi głowami znowu świergoczą pociski. To chłopcy „Torpedy“ i „Żarskiego“ wspierają nas ogniem.

Nagle huczy coś straszliwie, podnosi kurz, przez który raz po raz prześwitują czerwonopomarańczowe błyski ognia. Hitlerowcy nakrywają nas moździerzami... Rzucam się do przodu — aby bliżej niemieckich pozycji — tam moździerze nie będą straszne.

— Barykada!... — ryczy nagle biegnący obok mnie sierżant „Stasiek“.

Zza barykady ułożonej z worków napełnionych piaskiem zajadle terkocze karabin maszynowy.

Rzucam trzymany w ręku granat. Nad uchem huczy mi seria z „pepeszy“ kaprala „Sałaty“. Jeszcze jeden granat i...

— Naprzód!

Pod nogami czuję twarde, miejscami poprute worki, skrzynki od amunicji, ciała hitlerowskich kaemistów. „Ymka“ wbrew obietnicy podpułkownika „Sławbora“ — uparcie milczy. Z prawej strony „Pniewski“ siecze ogniem... Pada „Dumny Kajtek“. Zabity. Plutonowy „Odnaleziony“ ranny w rękę. „Tolek“ kontuzjowany. Sierżant „Stasiek“ ranny w brodę, w biegu zmienia magazynek „pepeszy“ — bluzę i automat zalewa krew.

Nareszcie jesteśmy przy budynku.

Chłopcy wdzierają się przez okna i wyrwy w murze. Trafiony serią w pierś pada „Motor“. „Wilk“ ranny w oba uda osuwa się ciężko na ziemię... Ale już jesteśmy wewnątrz.

Następują minuty gorączkowej, bezwzględnej i bezpardonowej walki o każdy pokój, o każde załamanie w murze. SS-mani bronią się zaciekle — wiedzą, że tu na litość miejsca nie ma.

Powoli strzelanina cichnie. Wciągam w spracowane płuca haust powietrza. Pozycja „Książęca 7“ jest w czwartackich rękach.

Rozgrzani szturmem i powodzeniem, szykujemy się do odbicia „Pniewskiego“, gdy niespodzianie dla nas zjawiają się plutony porucznika „Topora“ i „Torpedy“.

— Niech to wszyscy diabli! — krzyczy „Topór“ zamiast powitania. — Nie mogę dłużej patrzeć na to, jak wy odbijacie pozycję, którą nam kazano opuścić. Niech się dzieje co chce! Na „Pniewskiego“ idziemy razem.

Okazuje się, że nasz szturm widzieli oni z okien Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych.

Nadchodzi wreszcie czas i drugiego natarcia. Ruszamy... Trzema plutonami stosunkowo łatwo zdobywamy „Pniewskiego". Połączenie zdobyte.

Czwartacy — zgodnie z poleceniem „Sławbora" — obsadzają pozycję „Książęca 7". Plutony „Topora" i „Torpedy" zostają zluzowane i przeniesione na inny odcinek.

Komunikat dowództwa Armii Krajowej głosił:

„...Pozycja „Pniewski" po odbiciu przez nasze jednostki szturmowe została w dniu 17.9.44 oddana pod silnym naciskiem nieprzyjaciela".

Czwartacy w dalszym ciągu bronili Książęcej siedem. Hitlerowska artyleria i „Stukasy" zamieniały stopniowo budynek w kupę gruzu. Wreszcie czwartacka reduta przestała górować nad terenem i straciła znaczenie operacyjne. Pozycję „Książęca siedem", a ściślej mówiąc to, co po niej zostało, opuściliśmy dopiero po upadku Czerniakowa. Nie była już wtedy niczym innym, jak tylko cypelkiem wysuniętym w głąb pozycji hitlerowców.

Warszawa lewobrzeżna została odcięta od jedynej i ostatniej drogi ratunku — od Pragi.

SPIS

Cena zł 5.–

CYKL

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE-OPERACJE-KULISY

otwierają:

Wielki dzień Dywizjonu 303
Zamach na Kutscherę
Kamikaze – lotnicy śmierci
Zagłada Pearl Harbour
Tajemnica łuku kurskiego
Ostatni zamach na Hitlera
Ludzie – torpedy
Zagubiona armia
Cyrk Skalskiego
Alarm na Westerplatte
„Bismarck" – pirat Atlantyku
Ostatnia torpeda ORP „Orzeł"
„Lew pustyni" – w potrzasku
100 milionów z Bielańskiej
Pogoń za V – 1
Gdzie jest oberleutnant Siebert?

Poszczególne tomiki cyklu ukazują się co 2 tygodnie. Ze względu na ograniczony nakład zamawiajcie je z góry w punktach sprzedaży P.P.K. „Ruch"

ZAPAMIĘTAJCIE TEN ZNAK



DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

– BOHATEROWIE – OPERACJE – KULISY –

Dramatyczne wydarzenia największych zmagań wojennych w historii; przełomowe, nieznane momenty walk; czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu.

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY, W KTÓREGO SKŁAD WCHODZI NINIEJSZY TOMIK